

Pomorski
Magazyn
Artystyczny

2/2023 (6)
Kwartalnik

Heller
Krzyżyńska
Miłkowski
Makowski

Schiller
Zabłocki
Zydlar
Żerwe

2/23

Stow

literatura | sztuka | krytyka | życie społeczne



Leszek J.
PEKALSKI



Spis treści

- | | |
|--|--|
| <p>3 Wiersze
Michał Zabrocki</p> <p>5 Mieczysław Żydler zapomniany
piewca Kaszub i Pomorza
Wojciech Fułek</p> <p>12 Anton zwycięzca
Mieczysław Żydler</p> <p>14 Literaci na Wybrzeżu
Mieczysław Żydler</p> <p>16 List otwarty do Ministra
Kultury i Sztuki
Mieczysław Żydler</p> <p>17 O ojcu
Tom Żydler</p> <p>19 Trzask migawki
Wojciech Fułek</p> <p>22 Maciej Prus – ktoś pomiędzy
Tomasz Miłkowski</p> <p>25 Ułóż mnie w kostkę, równiutko
Z Marcinem Makowskim
rozmawia Wojciech Boros</p> <p>28 Wiersze
Marcin Makowski</p> <p>30 Disce puer latinae...
Wojstaw Brydak</p> |  <p>32 Tęsknica
Marcin Jacobson</p> <p>34 Po co nam krytyka muzyczna?
Joanna Schiller-Rydzewska</p> <p>36 Audionomia.
Na początku był dźwięk
Małgorzata Żerwe</p> <p>39 Epidemia nigdy się nie kończy
Tomasz Smiatacz</p> <p>42 Płakała nad każdym
ściętym drzewem
wspomina Anna Lakomy,
córka profesorów Marii i Jerzego Morzyckich</p> <p>44 Pies co różę w pysku niósł czyli
historia sopockiego Gwoźdźca
Olga Krzyżyńska</p> <p>48 Książki, których nikt nie chciał
Janusz Heller</p> |
|--|--|

Tadeusz Miciński *Kniaź Potiomkin* reż. Maciej Prus, Teatr „Wybrzeże” 1981, na zdjęciu Joanna Bogacka i Krystyna Łubieńska | fot. Jan Ledóchowski

Na okładce strona 1 **Leszek J. Pękalski** *Bańki mydlane*

Na okładce strona 4 **Leszek J. Pękalski** *Maine*

Leszej J. Pękalski, fotografik, jest artystą bieżącego numeru „Słowa” – reprodukcje prac na wielu stronach pisma.

Redakcja dochowała wszelkich starań, aby odnaleźć wszystkich autorów zdjęć i ilustracji, wykorzystanych w tym numerze. Jeśli, mimo to, nie udało się nam dotrzeć do wszystkich, prosimy o kontakt.

Redaguje zespół Jacek Borzych, Wojstaw Brydak, Wojciech Fułek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji), Jarosław Kurek, Dorota Sobieniecka

Współpracują Wojciech Boros, Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski, Joanna Schiller-Rydzewska, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny Paweł Pacholec

Wydawca Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej, Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

Zrealizowano ze środków Województwa Pomorskiego

Partnerzy



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku



Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie



Fundacja Artystyczna Podróż Hestii

Mecenas ERGO Hestia Sopot

Michał Zabłocki

ZA MOTTO

*Nie może dobre drzewo wydać złych owoców
ani złe drzewo wydać dobrych owoców.
Mt 7,18*

Dobre drzewo może wydać
złe owoce oj może
I złe drzewo może wydać
dobre owoce też

Na tym właśnie polega życie
o Boże mój Boże
Że nigdy nic nie wiadomo
i Ty o tym wiesz

Mam grzechu
toczy się
rechocze
świeci kolorowymi diodami
Przebrał się za zabawkę
i mnie tym kupił
Przyda się nie przyda
kiedyś będzie dla dzieci
Mam nowego grzechu
ale nie mogę go złapać

Codziennie trzeba upolować zwierza
codziennie trzeba coś jeść
Więc śledzę się
idę za sobą krok po kroku
Nasłuchuję
wietrzę świeżą krew
i chociaż tyle jest zapachów
tyle pięknego gnoju
w którym się wytarzałem dla niepoznaki
w końcu łapię trop
dopadam i zjadam
Boli
To dobrze
Prawda musi boleć

Doświadczony łowca zawsze zaczyna od kłamstwa
które łatwiej wyczuć bo śmierdzi

Doświadczony łowca idzie po cienkiej granicy zakłopotania
bo własny smród, to prawie jak zapach

Doświadczony łowca zawsze się stawia w niezręcznej sytuacji
używa prowokacji, uwielbia przynętę

Doświadczony łowca wybiera oskarżenie
rzadko dopuszcza obronę, a potem żałuje

Doświadczony łowca liczy do trzech i skacze
powodowany strachem przed tym, co nigdy się nie odstanie
działa przez zaskoczenie

WISIOR CZYLI WIERSZ

Wychodź mi, diable rogaty
daję ci dziesięć minut
a nawet pięć
zresztą nic ci nie daję
Nie mam na ciebie czasu
kto zaręczy że czas
nie pogorszyłby tylko sprawy
Wychodź mi dobrze i szybko
nie musisz być rymowany

Wisi nade mną
więc go sobie zrywam
przenoszę z nieskończoności
w nieodmienną przeszłość
A tam już tylko
powiązany w snopki
razem z innymi towarzyszami zabaw
oczekiwać będzie spokojnie
na samospalenie

Ten człowiek nie kłamie
Ten człowiek kluczy
Nie mówi całej prawdy
Lawiruje
Oddala się od źródła
Daje posłuch złośliwym narracjom
Z czasem to wszystko w nim dojrzewa
Kwitnie
Rodzi owoce choroby
Na szczęście już się nie widzimy
Ale zaraża mnie swoimi wierszami
Nie chcę tego
Przestaję czytać
I wtedy niespodziewanie
Obaj umieramy

Kiedy tata poznał mamę
Ziemniaki były po złoty pięćdziesiąt
A kilo wołowego z kością po siedem dwadzieścia
Mimo to tata kupił pierogi

Mama pomyślała NIE
Bo była chora
Ale powiedziała TAK
Bo zadzwoniła do babci
I usłyszała że poetom się nie odmawia

W końcu wszystko wyszło jak trzeba
Najpierw głowa
A na końcu nogi

Prawie każde dziecko rodzi się tak samo



Częstochowa, czerwiec 1979;
| fot. Leszek J. Pękalski

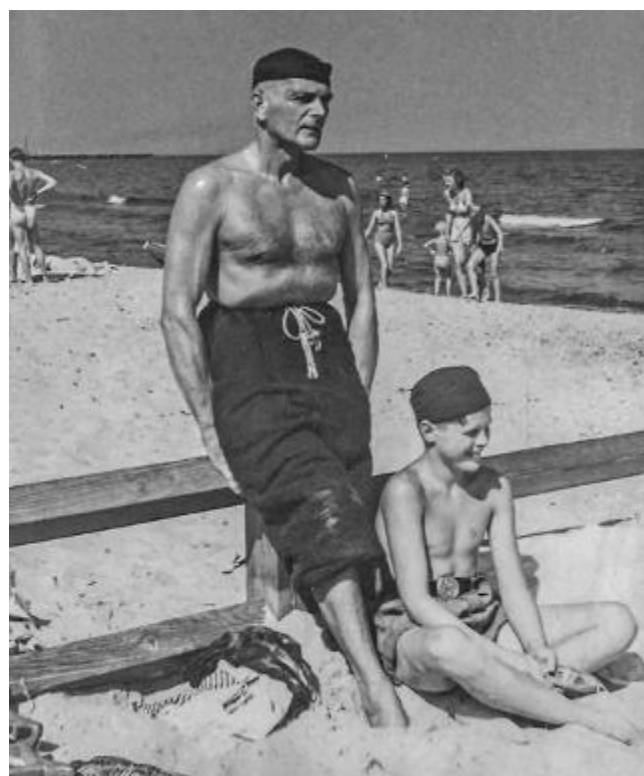
Mieczysław Zydler zapomniany piewca Kaszub i Pomorza

Wojciech Fułek

Kiedy w wrześniu 1945 roku Mieczysław Zydler pojawił się w Komisariacie Milicji Obywatelskiej w Sopocie, aby formalnie zarejestrować swój pobyt na Wybrzeżu, miał już spory bagaż życiowych, zawodowych oraz wojennych zakrętów, doświadczeń i przeżyć. Niezbędną pieczęć w okupacyjnej Kennkarcie (przez jakiś czas po zakończeniu wojny korzystano jeszcze z niemieckich dokumentów, z odciskami linii papilarnych, wycinając z nich tylko nożyczkami złowieszczą hitlerowską „gapę”), uprawniającą nie tylko do zameldowania i poszukiwania pracy, ale też otrzymywania kartek żywnościowych, Zydler uzyskał dokładnie w 46. rocznicę swoich urodzin.

Z urzędowego zdjęcia w tym dokumencie patrzy na nas mężczyzna w sile wieku, wciąż przystojny, z gładko zaczesanymi do tyłu – zgodnie ówczesną modą – lekko przeredzającymi się i siwiejącymi włosami, o przenikliwym spojrzeniu. Syn profesora matematyki (autora podręczników geometrii, do dziś używanych, kolegi ze szkolnej ławy Stefana Żeromskiego, który uwiecznił go jako Zygiera w *Szyfowych pracach*) oraz tłumaczki literatury pięknej. Wszechstronnie wykształcony, biegle władał 4 językami, nic więc dziwnego, że w okresie międzywojennym – po porzuceniu nudnej posady urzędnika bankowego – utrzymywał się właśnie z tłumaczeń beletrystyki dla kilku wydawnictw (m.in. popularnego „Raju”) oraz publikacji artykułów, reportaży literackich, felietonów i opowiadań, aby w końcu zadebiutować w roku 1938 świetnie przyjętą książką. Wspominał w jednym z nielicznych prasowych wywiadów w roku 1962:

Swoje pisarstwo – zacząłem od przekładów beletrystyki obcej, a zwłaszcza rosyjskiej, francuskiej i angielskiej, później przeszedłem do twórczości samodzielnej. Pisałem przeważnie na tematy kaszubskie i morskie. Pierwsze rzeczy własne publikowałem przez radio. Były to przeważnie felietony i krótkie opowiadania. (...) Książek wydanych mam na swoim sumieniu tylko trzy. Pierwsza ukazała się jeszcze przed wojną, nakładem Państwowych Wydawnictw Szkolnych we Lwowie pod tytułem *Urlop na wodzie*. Był to zbiór reportaży z wyprawy, jaką w swoim czasie zrobiłem żagłówką przez pięć rzek polskich do Gdyni. Książka ta, wydana w stosunkowo dużym nakładzie, cieszyła się niełatwą popytnością, zwłaszcza u młodzieży.



Mieczysław Zydler z synem Tomaszem | fot. archiwum rodzinne

Nowy początek polskiego wybrzeża

Do Sopotu Zydler przyjechał z żoną Eleonorą i pięcioletnim synem Tomaszem z Krakowa (trafił tam z Warszawy – po upadku Powstania i pobycie w obozie w Pruszkowie), gdzie

spędził ostatni rok wojny i gdzie przyjęto go do Związku Zawodowego Literatów Polskich. Odpowiedział też wtedy błyskawicznie na lipcowy apel Departamentu Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki – zachętę dla pisarzy – członków ZZLP do osiedlania się na Wybrzeżu, gdzie mieli oni mieć zapewnione odpowiednie warunki mieszkaniowe i bytowe. Jak wyglądało to w rzeczywistości, możemy przeczytać w przypominanym obok gorzkim tekście „Literaci na Wybrzeżu”, zamieszczonym kilka miesięcy później na łamach „Życia Literackiego”. Nie był to jedyny dramatyczny apel pisarza, bo z kolei na łamach „Odrodzenia” pisał, że zaproszeni na Wybrzeże literaci znaleźli się tam w sytuacji gorszej „od niewykwalifikowanego pracownika fizycznego”. Zydler, upominając się – w imieniu wszystkich wybrzeżowych twórców – o godne warunki życia i pracy, na pewno nie przysporzył sobie wtedy zbyt wielu przyjaciół i sprzymierzeńców wśród lokalnych notabli, urzędników i partyjnych działaczy.

potrzebuje innych ludzi, ludzi silnych i surowych, którzy przybywają nie po to, by się wygrzewać na słońcu [pisownia oryginalna].

Zydler nie tylko opisywał w swoich kaszubskich opowiadaniach ludzi silnych i surowych, ale i sam takim człowiekiem właśnie był. Niepomny dziennikarskiego ostrzeżenia, chciał swoim piórem dokumentować nowy początek polskiego wybrzeża. Nadzieję na dobry start symbolizować miał przecież przedwojenny minister, twórca morskiej potęgi Gdyni – Eugeniusz Kwiatkowski, który do Sopotu zawitał po wojnie jako szef Delegatury Rządu ds. Odbudowy Wybrzeża. Pisarz spotkał tu też licznych artystów różnych profesji, którzy niemal nie tknięty działaniami wojennymi kurort uznali za swoją nową ziemię obiecaną. Działał już przecież Instytut Sztuk Plastycznych (czyli protoplasta dzisiejszej Akademii Sztuk Pięknych), a profesorowie Zbigniew Turski i Władysław Walentynowicz właśnie organizowali od podstaw szkolni-



Dowód tożsamości Mieczysława Zydlera – reprodukowujemy tu tak zwaną „Kennkarte”, którą podczas okupacji wydawały niemieckie władze, a przez pewien czas uznawaną po wojnie przez władze polskie | repr. archiwum rodzinne

W pierwszym numerze nowej lokalnej gazety – „Dziennika Bałtyckiego”, mógł też wówczas przeczytać obszerny artykuł „Powrót na morze”, którego końcowe akapity brzmiały nie tyle jak zachęta, co raczej wyraźne ostrzeżenie:

Cieszy nas fakt, że przybywa coraz więcej polskiej ludności do Gdańska i Sopot, że z dnia na dzień zaludnia się Gdynia. Ludzie, jak powracające ptaki, gnieźdzą się w rozbitych mieszkaniach, wprawiają drzwi i okna, remontują. Pootwierano sklepy, jadłodajnie, czynne są apteki. Mamy wiele sentymentu dla morza. Ale teraz trzeba mniej sentymentu, a więcej zwyczajnej pracy. Jeszcze grubo zawcześniej na sezon dla spacerów łodzią i plażowania. Kto po to przyjeżdża, niech idzie spowrotem. Wybrzeże

ctwo muzyczne. Kilka dni po przyjeździe Zydlerów odbywa się w Sopocie koncert niedawno powołanej do życia Filharmonii Bałtyckiej, na który specjalnie przyjeżdżają prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut oraz premier Edward Osóbka-Morawski, aby propagandowo zaakcentować swoją obecnością „powrót Gdańska do Macierzy”. Ich wizyta owocuje przyznaniem dwóch domów w Sopocie na mieszkania dla muzyków oraz dodatkowym przydziałem żywności i ubrań. Nic więc dziwnego, że i inni twórcy mogli mieć nadzieję na równie życzliwą opiekę nowych władz. Tym bardziej, że jedną z sopockich ulic przemianowano nawet na Aleję Literatów. Takie nadzieje rozbudzał również wspomniany „Dziennik Bałtycki” (nr 113/1945), który powitał pisarza na swoich

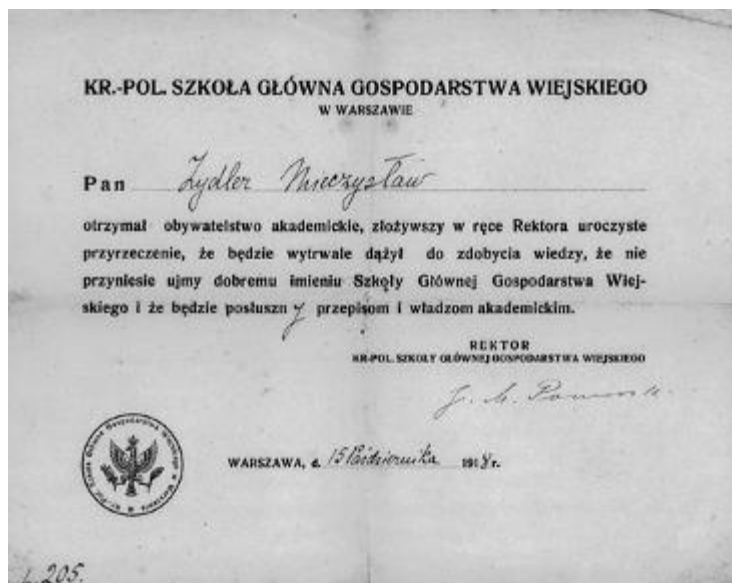
łamach wyjątkowo gościnnie – obszerną i pochlebną notą w „Kronice literackiej”, która – wydawałoby się – mogła tylko dobrze wróżyć na przyszłość:

Mieczysław Zydler, znany czytelnikom pisarz-marynista, przybył obecnie na Wybrzeże z zamiarem osiedlenia się w Sopocie na stałe. Grono pisarzy i artystów, zrzeszonych w sopockim Klubie Literackim z dawna oczekiwało na przyjazd tego *zaprzysiężonego morzu autora*. Zarówno twórczość literacka M. Zydlera, jak i całe jego życie związało się niepodzielnie – z wyjątkiem przymusowego wysiedlenia w czasach wojny – z kaszubskim Wybrzeżem, z Karwią, Gdynią i Orłowem. Jego bogaty dorobek pisarski charakteryzuje dobra forma popularyzowania zagadnień morskich i regionalno-kaszubskich w opowiadaniach, nowelach i felietonach, licznie publikowanych przed wojną w prasie, zwłaszcza na Pomorzu i w „Kurierze Warszawskim”, jak również i przez radio. Opowieść żeglarska pt. *Urlop na wodzie* ukazała się w dwóch wydaniach nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie. Wybuch wojny przeszkodził wydaniu 46 opowiadań i nowel kaszubskich tego autora, powiązanych w jedną całość *Gdzie Bałtyk szumi*. Obecnie autor opracowuje drugi tom tego zbioru, opowiadania wojenne oraz dwie popularyzatorskie publikacje na temat Marynarki Wojennej. Jako tłumacz M. Zydler dał się poznać przekładami z angielskiego i francuskiego. W jego tłumaczeniu ukazały się przed wojną utwory Thomasa Hardy, Chestertona i Bertie Ruck, drukowane nakładem „Roju” i „Biblioteki groszowej”.

„Plamy na życiu”

Podczas pierwszego spisu ludności (10 czerwca 1945 roku) w sopockim kurorcie mieszkało 8430 Polaków i 14810 Niemców. Trwała już jednak w najlepsze akcja „usuwania śladów niemieczyny”, organizowano tzw. kursy repolonizacyjne, a deportacje i wysiedlenia były na porządku dziennym. Co prawda ewangelikom pozostawiono na terenie kurortu jedną świątynię (do dziś funkcjonujący jako siedziba biskupa ewangelicko-augsburskiego nadmorski kościół p.w. Zbawiciela), ale posługujący w niej pastor Boeck wkrótce na stałe ją opuścił, towarzysząc ostatniej dużej grupie wysiedlanych parafian. Nic więc dziwnego, iż po 12 kolejnych miesiącach sytuacja wyglądała zupełnie inaczej: „Polaków jest 35050, Niemców 230 i cudzoziemców – 214 (...) Autochtonów Sopot posiada 3817 osób, resztę stanowi ludność przybyła z innych dzielnic Polski” – jak z nieskrywaną satysfakcją wtedy donoszono.

Tuż przed przyjazdem pisarza, pod koniec sierpnia powstał wspomniany sopocki Klub Literacki, który przyjął w swoje szeregi Mieczysława Zydlera, jako doświadczonego już pisarza i tłumacza – z otwartymi rękami. Ten – mimo



Dokument przyjęcia Mieczysława Zydlera na studia z 1918 roku | repr. archiwum rodzinne

niedogodności życia codziennego – szybko staje się jednym z filarów tego towarzystwa, przygotowując kolejne spotkania, odczyty i teksty – na „Literackie Czwartki”, w których – oprócz niego – brali udział m.in. Jan Brzechwa, Marian Brandys, Jerzy Zawieyski, Maria Szpyrkówna czy Eugenia Kochanowska. Premierowy wieczór klub przygotował 4 stycznia 1946 roku. Zydler oczywiście wziął w nim aktywny udział, anonsowany na specjalnie wydrukowanych zaproszeniach, co dokumentowały też później liczne, wręcz entuzjastyczne wzmianki w wybrzeżowej prasie:

W przyjętej z dużym aplauzem noweli M. Zydlera *Aż do śmierci*, napisanej doskonale, uderzała plastyczność tła oraz dogłębna analiza stanów duchowych, wyrażona stylem równym, spokojnym, opanowanym. Zydler nie chowa za parawanem sztucznej pogody płam na życiu. Nie klepie spraw ciężkich junacko po ramieniu, bo wie, że są nieuchronne, jak życie samo. Ale jednocześnie jest w nim ogromna siła witalna, która zdolna jest uratować przed otchłanią: upór pracy i miłość. („Gazeta Morska”, nr 12/1946). Wyrównany, solidny poziom oznacza zawsze proza Mieczysława Zydlera (...) Lubuje się (on) w przejawach zwartej siły, potężnej z prostotą. Jego rzetelne piarstwo jest od dawna cennym wkładem w dzieło demokratycznej przebudowy polskiej psychiki. („Dziennik Bałtycki”, nr 11/1946).

Takie recenzenckie laurki na pewno nie były niemiłe pisarzowi, choć trudno nie zauważyć, że akcentowane w nich dość mocno „plamy na życiu”, których autor nie ukrywał, mogły wzbudzać u niektórych decydentów uzasadnione podejrzenia, że nie w pełni rozumie on nową polityczną rzeczywistość i jako taki nie może być obdarzony pełnym zaufaniem. Nieświadomy chyba tego pisarz relacjonował z entuzjazmem, że



MIECZYŚLAW ZYDLER

chleb to razowy

Okładka zbioru opowiadań z roku 1960 | repr. archiwum rodzinne

Klub Literatów, żywotny beniaminek Gdańskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich, urządza co tydzień wieczory poświęcone omawianiu nowej książki polskiej, bądź autorskiej. Imprezy te cieszą się u publiczności dużym uznaniem.

Siedzibą Klubu był Dom Literatów (dziś w tym miejscu znajduje się Dom Pracy Twórczej ZAIKS), w którym najczęściej przybyli na Wybrzeże twórcy otrzymywali swoje pierwsze nadmorskie lokum – bez kuchni, łazienek, często bez żadnego ogrzewania. To był również początkowy przystanek rodziny Zydlerów. Aktywność twórcza głowy rodziny nie ograniczała się oczywiście do czwartkowych spotkań. Sporo w tym czasie pisze i publikuje nie tylko w wybrzeżowej prasie, przygotowując swoją kolejną książkę. Jednak w żaden sposób nie przyczyniło się to do poprawy sopockich warunków mieszkaniowych rodziny, o czym pisarz w ostrych słowach informował nie tylko na łamach wspomnianego numeru „Życia Literackiego”, ale i w kolejnych listach do władz miejskich czy ZZLP. Może jego kolejne dramatyczne apele w tej samej sprawie nie mają już jednak takiej mocy, skoro okazało się, że widoczne inwalidztwo (drewniana proteza nogi) to wynik amputacji na froncie wojny polsko-

bolszewickiej, w której uczestniczył jako 21-letni podoficer? A może raczej to efekt jego nieustającej batalii i codziennej troski o rodzinę, której był jedynym żywicielem i której chciał stworzyć możliwie najlepsze warunki życia nad morzem, które kochał i które słoną bryzą przenika całą jego twórczość? Może zapomniał o filozoficznej maksymie Platona, który mawiał, że „za największego wroga ludzie mają tego, który mówi im prawdę”?

Morze woła

Mimo trudnych warunków, pisarz nie przestaje jednak tworzyć, przygotowując nowe teksty, które złożyły się kilka lat później na drugą jego książkę *Morze woła*. Pozostając w zgodzie z własnym sumieniem i surowym pięknem życia codziennego, usiłował w nich jednak oddać – na swój sposób – ducha nowych czasów:

W codziennym obcowaniu z morzem, w słonym wietrze sztormowym i w blaskach słonecznych pozbywamy się naleciałości niewoli, hartujemy nie tylko ciało, ale i ducha. Jest coś żywiołowego w tym garnięciu się narodu do morza, coś zapowiadającego stanowczo, że błędy i zaniebdania morskie dawnej, szlacheckiej Rzeczypospolitej powtórzone nie zostaną.

Jednak nawet ta – skądinąd zupełnie symboliczna – cena ukłonów wobec nowej rzeczywistości, jaką zapłacił za swoje publikacje, nie była wystarczająca. Drewniana pamiątka wojny z bolszewikami okazała się zbyt istotna, aby niektórzy towarzysze mogli o niej tak łatwo zapomnieć. Pisarz, po wielu interwencjach, otrzymuje w końcu upragniony przydział na komunalne sopockie mieszkanie, ale nie cieszy się jego samodzielnością zbyt długo, bo wkrótce dokwaterowano do nich kolejnych lokatorów, a jeśli ktoś kiedyś mieszkał w tak zwanej „komunatce” ze wspólną kuchnią i łazienką, wie najlepiej, jakie pole konfliktów mogło to stwarzać. Dla twórczości pisarza nie jest to jednak najgorszy okres. Píše sporo dla rozgłośni radiowych (gdańskiej i szczecińskiej). Publikuje swoje krótkie opowiadania w gazetach i tygodnikach. W katowickim wydawnictwie „Książka dla wszystkich” drukuje powieść w odcinkach *Komandor Drewicz*, dedykowaną „żonom marynarzy”. Wydawca reklamuje go jako autora

...dobrze znanego czytelnikom, który rozpoczął swoją działalność literacką i publicystyczną w radio, dla którego przed wojną, jak i po wojnie pisze ogółem 260 audycji. Wkrótce ukaże się *Gdzie Bałtyk szumi* oraz tom opowiadań *Morze woła*. Tematem jego prac jest przeważnie morze i lud, osiadły od wieków nad Bałtykiem: Kaszubi – rybacy. Píše również nowele, oparte na własnych przeżyciach z okresu wojny. Ambicją jego jest wyrażać myśli prosto

i zrozumiałe. Najlepszym sprawdzianem tego, że utwory Zydlera znajdują właściwy oddźwięk wśród Czytelników są ich liczne pozytywne wypowiedzi pod adresem twórczości autora, kierowane do naszej redakcji.

Książka *Morze woła* (dedykowana synowi) ukazała się ostatecznie w maju 1948 roku nakładem warszawskiego wydawnictwa Panteon.

W trzech rozdziałach – *Przedszkole*, *Na kaszubskim brzegu* i *Morze woła*, mamy tu podanych wiele interesujących informacji o sporcie wodnym, pływackim i żeglarskim, o portach i kąpieliskach wybrzeża, o życiu na morzu, ujętych w formę prostych opowiadań, bezpretensjonalnych nowel i drobiazgów. Autor sprawy te zna dobrze i jest entuzjastycznym propagatorem morza

pisał wtedy Stefan Papée na łamach „Dziennika Literackiego”. Można w tej publikacji znaleźć nie tylko porady praktyczne dla początkujących, związane z morzem i żeglarstwem oraz turystyką wodną czy piękne literackie sceny „z kaszubskiego brzegu”, pisane z ogromnym uczuciem, ale i wręcz reporterskie relacje, związane z powojenną Gdynią, Sopotem, czy mniej znanymi wówczas nadmorskimi miejscowościami – ukochaną Karwią (gdzie mieszkał przez jakiś czas już przed wojną), Władysławowem, Helem, Rozewiem, Jastrzębią Górą, Juratą czy Jastarnią.

Kaszubska wieś rybacka nad otwartym Bałtykiem... Budzi nas bojowe pianie koguta, wdzierające się przez otwarte okno do schludnej izby o bielonych ścianach i skromnym ale wygodnym umeblowaniu. Jest jeszcze bardzo wcześnie, ale bliski szum morza ma tyle wabiącego czarunku, że bez żalu opuszczamy łóżko i niską chatę

– zachęcał w niej emocjonalnie do wypoczynku nad morzem Zydler. To jedna z nielicznych w tamtym czasie książek, nie podszyta polityczną propagandą, która pozostawia nam – bezcenny z dzisiejszego punktu widzenia – wręcz reporterski obraz życia codziennego powojennych mieszkańców Pomorza. Pisany sprawną ręką doświadczonego literata, który tych mieszkańców jak nikt inny znał, rozumiał i podziwiał.

Nic więc dziwnego, że autora w tym samym roku uhonorowano pierwszą po wojnie literacką nagrodą Miasta Gdyni – nie tylko za ostatnią książkę, ale i całokształt dotychczasowej twórczości, od samego początku nierozdzielnie związanej z Pomorzem.

Mimo tego uznania i kilku ciepłych recenzji, kolejne, zapowiadane przez samego pisarza książki i publikacje już się jednak nie ukazują. Wokół Zydlera i jego literackiej twórczości nagle zapada zupełna cisza. Co takiego stało się, że popadł w niełaskę, po raz pierwszy wtrącony w zapomnienie i literacki niebyt?



Mieczysław Zydler | fot. archiwum rodzinne

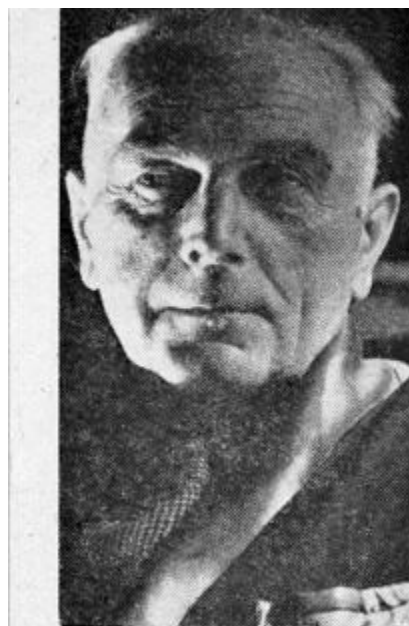
Skazany na milczenie

Na początku września 1948 roku zostaje oskarżony o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” i usunięty ze stanowiska sekretarza generalnego Polskiej Partii Robotniczej Władysław Gomułka. Odbyna się to już w atmosferze „eliminowania z ruchu robotniczego elementów spod znaku prawicy socjalistycznej, która jest agenturą burżuazji.” W grudniu odbył się w Warszawie tzw. Kongres Zjednoczeniowy, czyli de facto wchłonięcie resztek Polskiej Partii Socjalistycznej przez PPR. Powstaje „jedynie słuszna” (aż do 1989 roku) Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. To jednocześnie cezura oznaczająca początek polskiego socrealizmu, a pisarze mieli na tej drodze pełnić wyłącznie rolę przypisaną mu przez Wielkiego Językoznawcę, Generalissimusa Józefa Stalina – „inżynierów dusz ludzkich”. Związek Zawodowy Literatów Polskich, założony w roku 1920 przez Stefana Żeromskiego, przestaje istnieć w dotychczasowej formie. Nową nazwę – ZLP przyjęto w styczniu 1949 roku na IV zjeździe dotychczasowych członków związku. Włodzimierz Sokorski, minister kultury i sztuki, powiedział wtedy: „Nie istnieje coś takiego, jak neutralna postawa pisarza”, a Stefan Żółkiewski, poseł na Sejm PRL i redaktor naczelny tygodnika „Kuźnica” określił wyrażnie, jakich postaw oczekuje się od pisarzy: „wartość dzieła literackiego sprawdza się odpowiedzią na pytanie, co działo się dla budowy socjalizmu w Polsce”. Socrealizm został oficjalnie zadekretowany, a państwo od tej chwili niepodzielnie kontrolowało cały rynek wydawniczy i prasowy, dość brutalnie „wycinając” z niego tych, którzy nie wpisywali się w oczekiwany, propagandowy model twórczości. Zdecydowana większość pisarzy poddała się tej ideologicznej presji, w wyniku czego masowo powstały

wiersze okolicznościowe na cześć Stalina czy Bieruta i tzw. „produkcyjniaki”, a kolektywna metoda pracy (również literackiej) uchodziła teraz za najwyższą formę twórczości. Mieczysław Żydler – samotnik, idący zawsze własną drogą, w żaden sposób nie wpisywał się wtedy w model nowego człowieka – „budowniczego socjalizmu” i nie potrafił pisać zgodnie z narzuconymi odgórnie wytycznymi. Nic więc dziwnego, iż praktycznie z dnia na dzień okazało się, że żadne z pism czy wydawnictw, z którymi blisko do tej współpracował, nie chce już teraz publikować jego tekstów, a przedwojenna przeszłość i dokonania pisarza stanowiły teraz dla niego tylko dodatkowe obciążenie. Prostota jego stylu wcale nie okazała się zaletą, rybacy kaszubszy ze swoim specyficznym językiem na nowym etapie byli zdecydowanie mniej pożądanymi, niż przodownicy pracy, czy partyjni bohaterowie, a „plamy na życiu”, które przecież świadomie eksponował w swoich tekstach, stanowiły teraz wręcz dowód jego winy. Socrealizm nie uwzględniał bowiem wahań, niuansów, czy braku ideologicznego zaangażowania. Pisarz pozostawał wciąż członkiem ZLP, ale stracił możliwość jakiegokolwiek zarabkowania. Skazano go na milczenie i pozbawiono możliwości druku – zarzucając mu brak zrozumienia istoty socrealistycznej twórczości, a nawet – w tekstach historycznych, opisujących obronę Wybrzeża w roku 1939 – „apologię sanacyjnego wojska”. W latach 1949 – 1956 nie ukazuje się nic jego autorstwa, nawet opracowania dotyczące polskiej Marynarki Wojennej, które wcześniej przygotowywał do druku. Bieduje, prowadzi z żoną jakiś mały kiosk z gazetami i pamiątkami na terenie kurortu, ale ledwo starcza to na skromne utrzymanie rodziny. Małżeństwo Żydlerów, które wiele przeszło podczas wojny, nie wytrzymuje tej „socrealistycznej” próby i ostatecznie kończy się rozwodem, choć Mieczysław i Eleonora pozostają do końca życia w przyjaźni. Nieletnim synem zajmuje się jednak po rozwodzie ostatecznie nie matka, jak to najczęściej się zdarzało w takich przypadkach, ale ojciec.

Na kaszubskim brzegu

Dojście Władysława Gomułki do władzy i popaździernikowa odwilż roku 1956 były dla Żydlera wręcz wybawieniem. Dramatyczny list otwarty pisarza do nowego ministra kultury (który publikujemy na stronie „”) to – z jednej strony – wyraźny wyraz nadziei, że na kolejnym etapie znajdzie się miejsce na twórczość takich, jak on, indywidualistów, do tej pory zepchniętych na margines literackiego życia, z drugiej zaś – próba zwrócenia uwagi na najważniejsze problemy i potrzeby twórców jako specyficznej grupy zawodowej. Z nowym zapałem rzuca się w wir twórczej pracy, co wkrótce przynosi nie tylko nowe utwory i kolejne publikacje prasowe (artykuły, recenzje i opowiadania), ale i nagrody w kilku



Pisarskie reminiscencje Mieczysława Żydlera

Właśnie o życiu i twórczości tego pisarza, tak bardzo związanego z Wybrzeżem, kaszubszczyzną, z pracą na morzu niewielu z nas wie, choć żyje on i mieszka wśród nas. Pamiętamy okres, kiedy na

powodu dręczącej go od dłuższego czasu choroby. Złożyło się na to dużo przyczyn zarówno natury czysto obiektywnej, jak również bardzo bolesne osobiste przeżycia, o których trudno jest zapomnieć. Często komplikacje w związku z amputowaną nogą, tulaczka wojenna, trudne lata okupacji, a po wojnie – stosunki, jakie panowały u nas w znanym, choć niechętnie wspomnianym, tzw. „minionym” okresie i ciężka samotność na długo wyrzuciły mu pióro z ręki. Książki, które mógł napisać, stanowią bogaty wkład w ogólny dorobek polskiej literatury marynistycznej poświęconej głównie regionowi nadmorskiemu.

Mieczysław Żydler jest zwoleńnikiem tzw. małych form w literaturze: opowiadanie, nowela, felieton literacki – najbardziej mu odpowiadają. Przemawiają za tym i inne aspekty. Mała forma jest dla pisarza najbardziej praktyczna. Nie każdy bowiem znajduje się w warunkach, które by mu pozwoliły na to, co nazywamy „długim oddechem” w pisarstwie. Tematem opowiadań Mieczysława Żydlera są zawsze prości ludzie, najczę-

ściej związani z morskim warszlatem pracy, ich codzienne troski i przeżycia. W utworach jego pełno jest pięknych, niemal poetyckich opisów przyrody, uroków nadmorskiego krajobrazu, wsi kaszubskiej, nie waha się przy tym

Prasowy wycinek powojenny | repr. archiwum rodzinne

konkursach literackich. W roku 1959 zostaje laureatem głównej nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Klubu Marynistów za swoje „kaszubskie” – z ducha, lokalizacji głównych bohaterów, a nawet ich specyficznego języka, będącego mieszaną słów kaszubskich i polskich – opowiadania. Część z nich zostaje ostatecznie umieszczona w doskonałym literacko tomiku *Chleb to razowy*, opublikowana rok później nakładem Wydawnictwa Morskiego (wtedy jeszcze w Gdyni). Książka, wydana w nakładzie 3 tysięcy egzemplarzy, ma przemyślaną konstrukcję, na którą składa się 16 kaszubskich historii z różnego okresu – każda z głębokim filozoficznym przesłaniem. Wymagały one stworzenia specjalnego słowniczka kaszubsko-polskiego, w którym znalazło się aż 120 słów oraz terminów pochodzenia kaszubskiego, bez wyjaśnienia których trudno byłoby pewnie kwestie zrozumieć. Jedno z tych opowiadań przypominamy na łamach „Słowa”. Jak bardzo malarska to proza, niech zaświadczy krótki cytat z otwierającej ten zbiór impresji: *Wśród nowych przyjaciół:*

Rozległy jest widok z wydm. Po nocnej wiei morze zdaje się już uspokajać. W niskim, bladym słońcu białe barany gonią się po granatowej runi wolniej niż o świcie i są mniej liczne. Z poziomo rozplecionym siwym sznureczkiem u komina zмага się z falą zanurzony głęboko parowiec. Poza tym samotnym frachtowcem, drobnym zresztą jak okrucz bursztynu, morze zupełnie puste. Puste aż po narzutowany ostro na szklanym niebie widnokrąg.

Sam pisarz nazwał tę książkę „kaszubskimi obrazkami na szkle”, a recenzenci podkreślali nie tylko świetny warsztat i – po raz kolejny – „rzetelną surowość” tej prozy, ale i „niepobłażliwy stosunek do świata”, który autor reprezentował w swojej twórczości.

W jednym z nielicznych wywiadów, jakich udzielił po przyznaniu mu nagrody i publikacji książki Zydler jednak tak się zwierzał:

Wież kaszubska i morze nie wypełniają całkowicie moich zainteresowań. Coraz częściej, zwłaszcza w ostatnim okresie, uważam to za tło dla człowieka. To poszukiwanie istoty człowieka i wysiłek celem zbliżenia się ku prawdzie są – jak sądzę – naczelnym obowiązkiem pisarza. Dlatego też moim największym marzeniem – mówi piewca trudnej doli pięknych Wybrzeża, których tak chętnie portretuje – było i jest wrócić na wieś kaszubską. Przemiany, jakie zachodzą na wsi polskiej, ścieranie się starego z nowym, nie mogły ominąć również Kaszubów. Bezpośrednia obserwacja tych przemian mogłaby być bardzo pożyteczna dla pisarza. Obawiam się jednak, że zostanie w sferze nie zrealizowanych pragnień. Drugim moim planem pisarskim – nie zrealizowanym jeszcze – jest napisać powieść z lat okupacji, które przeżyłem w Warszawie, z powstaniem jako finałem.

Pisarz zmagał się też z czasem, przygotowując do druku kolejne książki, chcąc zapewne nadrobić niedawny „czas milczenia”. Ma już wtedy gotową do druku książkę poświęconą sprawom Marynarki Wojennej *Na morskim widnokręgu*, a o innych wydawniczych zamierzeniach możemy się dowiedzieć z notki na łamach „Głosu Wybrzeża” (nr 296/1960) „Co nowego u literatów nad Motławą”:

Pracuję obecnie nad zbiorem opowiadań nie o tematyce kaszubsko-rybackiej, która dominowała w mojej dotychczasowej twórczości, lecz o tematyce częściowo morskiej, częściowo lokalnej, a nawet wojennej. Praca idzie mi powoli z uwagi na zły stan zdrowia i trudne warunki mieszkaniowe. Jeśli chodzi o plany na przyszłość – moim największym pragnieniem byłby wyjazd na lato i jesień przyszłego roku do Karwi, nad otwarte morze, gdzie już kiedyś praco-

wało mi się tak dobrze. Chciałbym tam zebrać materiał do powieści, która objęłaby zmiany zachodzące obecnie na wsi kaszubskiej (...) Cieszyłoby mnie również nawiązanie współpracy w dziedzinie felietonu na tematy komunalne i urbanistyczne z którymś z naszych dzienników, któremu odpowiadałyby mój styl i spojrzenie na świat.

To spojrzenie na świat (ach, te pamiętne „plamy na życiu”...) nie za bardzo chyba jednak odpowiada już filozofii gomułkowskiej dekady „małej stabilizacji”. Żadna z redakcji nie jest zainteresowana współpracą, a planowane książki ostatecznie nigdy się nie ukazują. Sopotcki pisarz, wciąż przecież aktywny, wysyła swoje nadmorskie korespondencje do kilku różnych periodyków, ale trafiają one do druku co najwyżej w rubryce „Listy do redakcji”. To ewidentne upokorzenie (nie wiemy oczywiście, czy świadomie zaplanowane) doświadczonego przecież pisarza, laureata wielu nagród i wciąż członka ZLP. Tym razem Zydler jednak nie chce milczeć i walczy o swoją twórczą obecność. Wydawnictwo Morskie ostatecznie łaskawie zgadza się powierzyć mu tłumaczenie z języka rosyjskiego morskiej opowieści Konstantego Badigina *Na zatopionym okręcie*. Książka ukazuje się w roku 1968. Kolejne autorskie opowiadania w druku pojawiają jednak dopiero na przełomie lat 60. i 70. na łamach „Rejsów” – dodatku do „Dziennika Bałtyckiego”. Autor jest już wtedy ciężko chory na białaczkę. I umiera w zapomnieniu 10 lipca 1971 roku w Sopocie, gdzie jest pochowany. Po jego śmierci ukazują się tylko krótkie, suche prasowe notki w wybrzeżowej prasie.

Mieczysław Zydler jako pisarz nie jest obecny w ogóle w licznych książkach, związanych z Sopotem. Jego nazwisko nie pojawia się ani w Sopockim Albumie Biograficznym, bedekerze Franciszka Mamuszki, licznych przewodnikach czy na łamach „Rocznika Sopockiego”. Nie znajdziemy go również w wirtualnej Gedanopedii. Jego książek nie można też – już od dawna – znaleźć w bibliotekach, a ich archiwalne egzemplarze bardzo rzadko pojawiają się na internetowych aukcjach. Paradoksalnie, bez problemu można kupić dziś podręczniki geometrii jego ojca, Jana Zydlera, czy anglojęzyczne przewodniki, pisane za granicą przez syna, Toma Zydlera. Tom(asz) Zydler, jako fotografik, pojawił się niedawno na wystawie absolwentów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Gdyni-Orłowie zorganizowanej z okazji 80-lecia szkoły. W PLSP Tomasz poznał Barbarę Rachwańską, która wkrótce została jego żoną.

Ale Mieczysław Zydler wciąż czeka na należne mu miejsce i zasłużone honory. Najwyższy czas przywrócić pamięć o tym – niesłusznie zapomnianym przez lata – świetnym sopockim pisarzu i jego twórczości, tak przesyconej miłością do morza, kaszubskich rybaków i polskiego Wybrzeża.

Wojciech Fułek

Anton zwycięzca

Mieczysław Zydlar

Nie znacie to starego Antona? Jakże można! Trzeba to naprawić!

Ma lat 77, dwie nad karkiem siekiery, ale nic sobie z nich nie robi. Jest krępy, w sobie zwięzły, a plecy ma tylko trochę pod brzmieniem wieku pochylone. Z każdej zmarszczki jego miedzianej twarzy, z małych oczek zmrużonych pod siwymi szczoteczkami tryska dobroć i życzliwość dla całego świata. Ta jego dobroduszość jest znana i często nadużywana. Nie brakuje frantów, co przy pomocy zręcznego słowa i rożka z mile woniejącą tabaką potrafią wycygnąć od niego ryby za pół albo zgoła za ćwierć darmo.

Nie lubi on targów i zdaje się wcale nie stać o grosz. Więcej ceni przyjemną pogwarke i wesołość wkół siebie. Jak myślicie, może i dobrze czyni?

Mimo oznak niejakej w twarzy zgrzybiałości, ruchy ma sprężyste i pracuje na równi z młodymi. Z odlądową bryzą na długo przed pierwszym brzaskiem wyrusza w morze na otwartej łodzi, w której nie ma sposobu uchronić się przed wiatrem, przed deszczem i krupą śnieżną.

Kto to pierwszy wydumał i na całą Polskę otrąbił, że rybacy kaszubscy to mruki ponure? Zuchwalec z pozorów sądzący! Tóna, jak zresztą ogromna większość jego ziomeków, gadatliwy jest i wesoły jak szczygieł, stary szczygieł, co wiele przeżył, wiele widział i nie lada doświadczenie zdobył. Trafniej też niż inni umie on obrać miejsce na postawienie żaka, trafniej również wymiarkuje, którędy pójść ławice śledzika czy szprota. Więc w checzy Tóna Miłosza, nisko przysiadłej pod obrośniętą mchem strzechą nie ma biedy, mimo całej jego niefrasobliwości o dzień jutrzejszy. Sprawiedliwość przyznać każe, że dostatków wielkich także w niej nie uwidzisz.

Żeglarz z niego zawołany. Ale nim się z morzem na dobre pokumał, przechodził, bywało, ciężkie chwile.

Razu pewnego, bardzo dawno temu, zaskoczyła go w drodze powrotnej sroga chaja. Niedaleko już lądu, na rewie, na drugim od brzegu przemiale, gdzie fala zwykła załamywać się najgroźniej, ogromny grzywacz przewrócił łódź, wcisnął pod się i kilkakrotnie z wściekłością przekoziołkowawszy wypłuł dnem do góry.

Oczekujące na strądzie matki i żony zamarły ze zgrozy. Tymczasem na obły brzuch łodzi wdrapał się ktoś z załogi i już nie dał się spłukać. Był to zaczynający dopiero swoje dojrzałe życie Tóna Miłosz. Trzej jego maszopi utonęli. On jeden ocalał.

– To jo miol ju śmierć w sobie! – wyznał mi kiedyś. I chociaż stara to była historia, figlarne zwykle ocz jego spoważniały, a przez ich wyblakłą modrość przesunął się w cień kostuchy. Wiecie na pewno, jak wygląda żak na węgorze. Wiecie, że rybak musi wejść z nim w morze, aby wbić w dno paliki, na których trzyma się worek żaka z matnią i obie siatki: wiera przystawna i wiera odstawna.

Wprawdzie istnieją nowomodne żaki innego rodzaju, które ustawia się z łodzi, ale przez rybaków z pomniejszych wiosek rzadko bywają stosowane. Nie trzeba chyba nadmieniać, że wśród zwolenników tradycji znajduje się również Tóna. Już przymrozki srebrzą łąki i wydmy, już inni rybacy dawno poniechali połowów żakami, ale Antona Miłosza precz można zobaczyć późnym wieczorem, jak zanurzony po pierś zabija w dno pale bukowe. Uderzenie ma powolne, za to pewne i mocne.

W pomroce, z której poprzez monotonne szlochanie przyboju dobiega uporczywe „och!... ach!... och!... ach!...” młota, majaczeje ciemna plama, przesłaniana raz po raz przez fale. To on, stary Tóna, czynem stwierdza, że nie gorszy jest, lecz lepszy od młodych. Albo kiedy brnie morzem wzdłuż brzegu wlokąc małą cezę na „kraby”, potrzebne, jak wiadomo, na przynętę przy połowach haczykowych. Chociaż zgasty już na niebie zorze wieczorne, on mrużąc pod nosem zdrowaśki kroczy w swych skorzniach wytrwale i nic nie zważa, że nogi ma mokre i zziębłe.

Z wilgotnej ciemności, wydzielającej jak kwiat nikłą, lecz wyraźną woń kidzeny i jodu, słysząc czkawkę dwutakowego silnika. Samego kutra nie widać, łamiąc przepisy oszczędza nafty w swoich lampach burtowych.

O tej samej porze rówieśnicy Antona wtuleni w miękkie fotele wyciągają trzęsące się ręce po kubek z ziółkami na wątrobę i lepszą przemianę materii. Biernie dożywają swoich dni w ciepłych szlafrokach, niczego już nie wyglądają, niczego się dla siebie nie spodziewają, prócz śmierci.

Zmierzający do brzegu z cezą pełną „krabów”, Tóna Miłosz, gdy nadejdzie jego godzina, przyjmie śmierć z godnością i spokojem, z pokorą i poddaniem, należnym jej majestadowi. Ale jej nie wyczekuje, myślami o niej apetytu sobie nie psuje. Nie ma na to czasu.

Kiedy wczesnym rankiem schodzę na brzeg morski, dobiega mnie z gęstej mgły klekot wiosła między kotkami dulek. Z kłębiących się nad wodą oparów wyskakuje mała łódź. Szybko przesuwają ją do lądu dwie pary remek, przy których

pracują wnukowie Antona; urodny Aleks i mały Tónk. On sam siedzi u steru. Ale dostrzegłszy mnie, wstaje i podnosi dumnie nad głowę ogromnego dorsza – pomuchła. Woła przy tym coś przeciągle, co do brzegu nie dociera, gubiąc się w łoskocie fali, ale brzmi jak pierwotna pieśń triumfu nad niedołęstwem starości.

Tak! Tak! Tóna Miłosz nie pożywa chleba darmo!

Opowiadanie ze zbioru
Wśród nowych przyjaciół

Słowniczek

chaja – zawieja, nawałnica

strąd – brzeg

checz – dom

żak – sieć na węgorze

ceza – rodzaj sieci ciągnionej

skorznie – buty rybackie z bardzo długimi miękkimi cholewami, całkowicie wyparte później przez fabryczne buty gumowe.

kidzena – trawa morska

remki – wiosła, używane także do sterowania



Sopot, 2002 | fot. Leszek J. Pękalski

Literaci na Wybrzeżu

Mieczysław Żydler

Kiedy Departament Literatury wezwał w początkach lipca pisarzy, zrzeszonych w Związku Zawodowym Literatów Polskich do osiedlania się na Wybrzeżu, apel ten nie przebrzmiał bez echa. Znalazło się kilkunastu pisarzy, którzy bądź przed wojną już na Wybrzeżu mieszkali i pracowali, bądź z Kaszubami i morzem przez swoją twórczość czuli się związani; ci chętnie swoje dotychczasowe miejsce pobytu porzucili i zabrawszy rodziny, pojechali tam, dokąd ich zapraszano.

Od tej pory datuje się ich udręka. Wydziedziczeni i wysiedleni w początkach wojny przez przewidywanego okupanta, przeżywszy w Warszawie lata terroru z jego tragicznym finałem: Powstaniem, przeszedłszy przez obóz w Pruszkowie, mogli byli sądzić, że są dostatecznie zaprawieni do walki z przeciwnościami losu. To jednak, z czym spotkali się nad morzem, wytęsknionym przez 6 lat poniewierki i tułaczki, przekroczyło ich oczekiwania.

Zastanawiająca jest doprawdy obojętność na los przybyłych ze strony władz, które wszakże wzywały pisarzy do przyjazdu, zapewniając, że „warunki dla ich osiedlenia można stworzyć bardzo dobre”. Trudno oprzeć się przeświadczeniu, że pisarz jest przez tamtejsze czynniki niemile widziany, może dlatego, iż z natury rzeczy rozporządza spojrzeniem ostrzejszym, przenikliwszym.

MIESZKANIE. Jedną z najistotniejszych potrzeb człowieka – ludy koczownicze wyłączywszy – jest mieszkanie. Nie mają go dotychczas literaci Wybrzeża, pomimo że dla zdobycia w sposób legalny dachu nad głową – oddali całą swoją energię, zaniedbali pracę zawodową i nie szczydzili wysiłków. Dom Literatów w Sopocie¹, przeznaczony w myśl statutu na jednomiesięczny wypoczynek, jest schronieniem, w części słabo, w części zaś wcale nieogrzewanym, pozbawionym kuchen, jest prowizorium kosztownym, z którego korzystać przez czas dłuższy, zwłaszcza w warunkach rodzinnych, nie podobna, pomimo całej dobrej woli jego gościnnej, czarującej kierowniczk.

Po miesiącach kołatania w urzędach i komisjach, powołanych jakoby do rozdzielania mieszkań, nieszczęśni pisarze doszli do smutnego wniosku, że stali się igraszką, piłką, przerzucaną przez ubawiony ich naiwnością urzędniczy personel z jednej komisji do drugiej, z drugiej do trzeciej, po to, by w końcu znaleźć się znowu w tej, od której tę grę rozpoczęto. Jednocześnie stwierdzić trzeba, że piękne umeblowane mieszkania są tu przedmiotem intratnego handlu.

STOŁÓWKA. Zdawało by się, że po licznych, wiele obiecujących wypowiedziach tzw. „czynników miarodajnych”, że zawód pisarza cieszy się opieką władz. Życie powszednie, nie od święta i uroczystych przyjęć, zaprzecza temu przy najmniej na Wybrzeżu brutalnie, narzucając przekonanie, że były to jeno słowa, słowa bez obowiązującego pokrycia. Tak więc, prawo do stołówki ma każdy pracownik fizyczny i umysłowy. Odmawia się go jednak pisarzowi, chce go się zmusić za cenę niezbędnej stołówki do pracy innej, pracy urzędnika w magistracie lub województwie.

Dlaczego tak się dzieje? ... Dlaczego usiłuje się skłonić literata do wyrzeczenia się, w każdym zaś razie do ograniczenia działalności zawodowej?... Są wśród pisarzy ludzie schorowani po przejściach wojennych, dla których wyrzeczenie się pracy zawodowej, będącej treścią ich życia, będzie niewątpliwie przeżyciem bardzo bolesnym, którym jakiegokolwiek „urzędowanie”, zabierające 8 i więcej godzin dziennie (z uciążliwym dojeżdżaniem do miejsca zarobkowania) pracę zawodową zgoła uniemożliwi. Dlaczego pisarz ma wyrzec się rozpoczętego dzieła?... Bez stołówki zaś nie jest w stanie utrzymać rodziny ze swoich dochodów.

DOCHODY. Że przeciętne dochody pisarza są bardzo niskie, wielokrotnie niższe od dochodów rzemieślnika, o tym wiadomo powszechnie. Wydanie książki jest dzisiaj dla literata wciąż jeszcze marzeniem prawie nieosiągalnym. Honoraria autorskie za nowele i opowiadania, z rzadka publikowane przez radio i w prasie, okazały się po przeliczeniu na ceny żywności, 10 do 15 razy niższe niż przed wojną.

Wprawdzie wszystkie posady komunalne i państwowe wynagradzane są niewspółmiernie nisko, wprawdzie położenie wszystkich ludzi pracy jest nad wyraz trudne. Tym niemniej każdy inny pracownik, niepisarz i nieartysta,

¹ Dom Literatów mieścił się wówczas Sopotie przy ul. Książąt Pomorskich (dziś ul. Powstańców W-wy), w miejscu dzisiejszego Domu Pracy Twórczej ZAIKS.

dostaje poza pensją to skromne wyżywienie w stołówce, które nie pozwala mu zginąć, dostaje przydziały żywności, które małe niewątpliwie i niewystarczające, poprawiają jednak jego położenie materialne. Tylko literat, jeżeli uparł się wytrwać przy swoim zawodzie, jest skazany na powolną śmierć z niedożywienia. (Jak słysząc, prawo do stołówki odebrano ostatnio również artystom-plastykom i muzykom). Są oni najwyraźniej uważani za istoty, które powinny oduczyć się jedzenia, przyzwyczaić natomiast do chodzenia w łachmanach, nie zawsze jednak malowniczych.

Koniecznym wydaje się wkroczenie w tę sprawę Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz gdańskich władz wojewódzkich dla udzielenia skutecznej pomocy tym, których na Wybrzeże wezwano. A więc pomocy w uzyskaniu:
mieszkania i mebli,
prawa do stołówki,
przydziałów w opale, żywności i odzieży
w tym samym przynajmniej zakresie, w jakim zrobiono to dla innych zawodów.
Albowiem nie samym tylko słowem pisarz żyje!

„Życie Literackie”,
dwutygodnik, rok 2, 1946, Poznań, nr 5/6



Kaszuby | fot. Leszek J. Pękalski

List otwarty do Ministra Kultury i Sztuki

Obywatelu Ministrze!

Mam lat 57 i jestem członkiem rzeczywistym Związku Literatów Polskich. Poza tym jestem inwalidą i samotnym ojcem nieletniego syna, ucznia liceum.

Przez całe swoje życie, z wyjątkiem paru lat młodości (kiedy byłem urzędnikiem bankowym) i okupacji hitlerowskiej – pracowałem jako pisarz i z tej wyłącznie pracy żyłem. Pisałem przeważnie na temat morza, Wybrzeża i kaszubskiej wsi rybackiej, na której mieszkalem przez dłuższe lata. Moją twórczość małej formy publikowała prasa codzienna i magazyny całej niemal Polski oraz Polskie Radio (również 7 słuchowisk). W roku 1938 wydano w książce mój *Urlop na wodzie*, w roku zaś 1948 – *Morze woła*. Za twórczość związaną z morzem i Wybrzeżem zostałem w roku 1949 wyróżniony – ponad zasługę – pierwszą po wojnie nagrodą literacką miasta Gdyni. Ale od czasu wydrukowania ostatniej książki i wzięcia pisarzy przez urzędników w kuratelę, prześladowają mnie niepowodzenia czytelnicze. Prace moje z uporem odrzucano (często z komentarzami przypisującymi mi wsteczność i zarzucającymi rozbrat z socrealizmem), albo przetrzymywano tak długo, że wobec szybko pędzącego u nas życia nie mogłbym już podpisać ich do druku w pierwotnej formie. Jedno z wydawnictw po zawarciu umowy, po uzyskaniu aprobat Ministerstwa Oświaty i zezwolenia cenzury – zwróciło mi maszynopis po 4 latach (PZWS – Państwowy Zakład Wydawnictw Szkolnych – przyp. WF).

„... Minęły czasy, kiedy koncepcja utworu należała do autora” twierdziło inne (Wydawnictwo Ludowe).

Pewien recenzent potępił mi całą pracę z powodu opisu obrony Oksywia we wrześniu 1939 r., określając te karty jako „niedopuszczalną apologię sanacyjnego wojska”.

Nie lepiej było w redakcjach czasopism i rozgłośni radiowych. Praca literacka stopniowo przestała mi przynosić jakikolwiek zarobek. Niepowodzenia te, trwające całej lata, odebrały mi wreszcie energię i ochotę do walki z mglistą atmosferą doktrynerstwa, niechęci czy po prostu sytej obojętności; poderwały także moją wiarę w siebie.

Moje położenie materialne pogarszało się coraz bardziej, stając się w ostatnich czasach wręcz katastrofalne. Aby móc wyżywić i ubrać syna, zaciągnąłem duże długi i nie widzę możliwości ich spłacenia, co obciąża mnie również moralnie. Ze względu na niebezpieczne komplikacje w amputowanej nodze, nie mogłem pójść śladem kolegów i szukać pracy poza domem, w redakcjach dzienników lub teatrze. Wszystkie zaś moje starania o prace zlecone w postaci np. przekładów beletrystyki obcej (przed wojną tłumaczyłem dla „Roju” i „Wydawnictwa Współczesnego”) nie dały wyniku: może dlatego, że z konieczności prosiłem o to nie osobiście, a listownie, a może z powodu zbyt dużej konkurencji pisarzy zamieszkałych na miejscu, w Warszawie. Po trwających półtora roku zabiegach i zwłaszcza pomocy, jaką okazał mi w tej sprawie Komitet Wojewódzki PZPR w osobie tow. Brzoski, udało mi się uzyskać posadę stosunkowo niedaleko od mojego mieszkania, niestety, z tak niskimi poborami, że żadną miarą nie mogą one wystarczyć na utrzymanie dwu osób. Ale i tego zajęcia jestem zmuszony się wyrzec, ponieważ spowodziło dalsze pogorszenie mojego stanu zdrowia.

Obywatelu Ministrze! Każdy pracujący człowiek dostaje na starość, albo w wypadku inwalidztwa emeryturę. Czy pisarz ma ginąć z głodu, wraz ze swym dzieckiem, w rozpacz i zwątpieniu, tylko dlatego, że za swój trud nie pobierał miesięcznej pensji?

Zarząd Główny ZLP przyszedł mi kilkukrotnie z pomocą w postaci upokarzającego zasiłku, o który za każdym razem trzeba było wyciągnąć żebrzącą dłoń. Ale nie na tej drodze leży rozwiązanie.

W imieniu własnym i wszystkich starych lub niezdolnych do pracy kolegów wołam o prawo pisarza do emerytury!

Mieczysław Zydler
„Nowa Kultura”, nr 49/1956

„Nowa Kultura”, wychodząca w latach 1950-1963, w roku 1956 pełniła jeszcze rolę oficjalnego organu ZLP, ale rozpaczliwy apel Mieczysława Zydlera o prawo do pracy twórczej mógł się na jej łamach ukazać wyłącznie dzięki krótkotrwałej odwilży gomułkowskiej po październiku '56. „Nowa Kultura”, po wydrukowaniu *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, była uważana wręcz za pismo „rewizjonistyczne” – podobnie jak *Po prostu*. W czasie, kiedy ukazał się drukiem list Mieczysława Zydlera funkcję Ministra Kultury i Sztuki pełnił dziennikarz i wydawca, Karol Kuryluk, zwolennik liberalizacji kultury i współpracy artystycznej z Zachodem. Być może to właśnie jemu Zydler – mimo pogłębiających się wtedy kłopotów zdrowotnych – zawdzięcza krótki okres spokojnej pracy twórczej na przełomie lat 50. i 60. (red.)

O ojcu

Tom Zydler

Wspomnienia są nieśmiertelne...

Wspomnienia dotyczącego mojego ojca, mimo upływu czasu, wciąż są żywe, ich kolory nie wyblakły i wciąż powracają kolejnymi obrazkami.

Oto on, podpierający się laską, przechadzający się powoli z małym chłopcem po piaszczystych wydmach na bałtyckiej plaży. Ten chłopiec to ja, kurczowo trzymający go za rękę. Na kolejnym obrazku chłopiec jest już trochę starszy, a ojciec tłumaczy mu cierpliwie, jak zachowują się łodzie pod pełnymi żaglami; to my razem obserwujący światem z brzegu sopockich rybaków, którzy wodują swoje kaszubskie „pomieranki” i wypływają na zatokę stawiać sieci.

Następny kadr to ojciec, który snuje barwną opowieść o tym, jak kilka lat przed wojną wraz z swoim szwagrem, Franciszkiem Kempą sami zbudowali drewnianą jednomasztową łódkę, której nazwali „Albatros” i którą popłynęli na męską wyprawę w dół Wisty – docierając nią aż do Zatoki Gdańskiej. To właśnie ta wyprawa została opisana przez ojca w książce „Urlop na wodzie”.

Kolejny, zatrzymany w pamięci obraz: ojciec stojący w kuchni w naszym małym sopockim mieszkanku – w zasięgu głosu morza, wiatru i fal uderzających wściekle o morski brzeg. On i ja dzielący się domowymi obowiązkami – ja najczęściej zmywający naczynia, a on gotujący cokolwiek – to, co akurat było dostępne w tych wczesnych PRL-owskich latach pod totalitarnym, komunistycznym butem.

To ojciec wyjaśniał mi literackie tajemnice odpowiedniego kształtowania zdań i budowania obrazów ze słów, gdy byłem już na tyle dorosły, by czytać Josepha Conrada -Korzeniowskiego w oryginale – po angielsku. Okazało się, że znał ten język doskonale i już przed wojną przetłumaczył z angielskiego na polski kilka powieści różnych autorów. Jego znajomość wielu języków i biegłość translatorska zadziwia mnie dopiero teraz, po latach, ale wtedy uważałem to za coś naturalnego, oczywistego. Kiedy, pochłonięty pasją nurkowania zabrałem się do lektury książki *Silent world* Jacquesa Cousteau po francusku, pomagał mi często

w rozwiązywaniu kolejnych językowych zagadek, na które natrafiałem.

Z kolei jego doskonała znajomość języka niemieckiego pozwoliła mu w czasie wojny utrzymać przy życiu żonę i niemowlęcego syna w okupowanej Warszawie, skąd – już po upadku powstania – trafiliśmy wszyscy do niemieckiego obozu przejściowego w Pruszkowie, przeznaczonego dla mieszkańców zbuntowanej stolicy. W wydostaniu się stamtąd też pomogła mu biegła znajomość kilku języków. Stamtąd trafiliśmy do siostry ojca w Krakowie.

Tuż po zakończeniu wojny, udaliśmy się w długą kolejową podróż na ukochane przez ojca Wybrzeże, gdzie miał nadzieję odnaleźć dawnych przyjaciół, pomoc i swoje nowe miejsce na początek nowego życia. Trafiliśmy do małej rybackiej wioski kaszubskiej nad otwartym morzem – Karwi, gdzie ojciec rozmawiał płynnie po rosyjsku z bandytami w mundurach Armii Czerwonej, którzy rabowali i gwałcili zarówno podróżnych, jak i kaszubskich mieszkańców, traktowanych brutalnie jako niemieckich kolaborantów. Obcy język, tym razem rosyjski – po raz kolejny pomógł mu ochronić swoją rodzinę. A ja znów zastanawiam się, jak mu się to udało, skoro musiał przecież tych „wyzwolicieli” wtedy szczerze nienawidzić, mając również w pamięci, że to właśnie im zawdzięcza utratę swojej nogi na froncie wojny polsko-bolszewickiej.

Najbardziej żałuję, że gdy jeszcze żył, nie zadawałem mu więcej pytań o rodzinne korzenie. Dziś pozostała mi w pamięci tylko jego krótka opowieść o tym, jak pewien przybysz z Alzacji o nazwisku Seidler, służący w napoleońskiej armii, ciągnącej na Moskwę, zdecydował się osiąść i założyć rodzinę na ziemiach polskich. Bo był to mój pra-pradziadek, który zapoczątkował polską linię rodziny Zydlerów, której ja jestem już ostatnim męskim przedstawicielem.

Tom Zydler
styczeń 2023, Edisto Island, USA



Trzask migawki

Wojciech Fułek

Czasem najtrudniej jest zrobić najprostsze zdjęcia

Neil Leifer

Leszek J. Pękalski to dyplomowany fizyk, meteorolog (pracował w stacji na Kasprzym Wierchu), nauczyciel, wykładowca akademicki – w gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, Uniwersytecie Gdańskim i Politechnice Gdańskiej. W roku 1979 rezygnuje z pracy na uczelni i podejmuje pracę jako zawodowy fotografik – wolny strzelec. Pierwszą wystawę indywidualną „W Nowym Jorku i gdzie indziej” organizuje w Gdańsku w roku 1981. Od tego czasu bierze udział w ponad 200 wystawach zbiorowych na wszystkich kontynentach, jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. Z jego licznych indywidualnych prezentacji najbardziej zapamiętałem wystawę „Czarodziejski ogród Józefa Chełmowskiego”, prezentowaną w Państwowej Galerii Sztuki za czasów dyrektora Zbigniewa Buskiego (ale również m.in. w Muzeum Zachodniokaszubskim w Bytowie). Józef Chełmowski to nieżyjący już dziś kaszubski artysta-samouk (rzeźbiarz, malarz i filozof), w którego rodzinnym domu i ogrodzie w miejscowości Brusy-Jagle funkcjonuje dziś regionalne muzeum, poświęcone głównie jego twórczości. Z ponad tysiąca zdjęć, jakimi Pękalski uwieczniał regularnie to miejsce w latach 2000-2015 zrodziła się doskonała wystawa, która była hołdem złożonym niecodziennemu artyście i jego nasyconym jaskrawymi kolorami dziełom.

Pękalski to również współtwórca Trójmiejskiej Szkoły Fotografii, wykładowca Instytutu Dziennikarstwa, rzeczoznawca ds. fotografii artystycznej i juror wielu konkursów fotograficznych. Jego zdjęcia znajdują się dziś w kolekcjach prywatnych m. in. w Anglii, Francji, Luksemburgu, USA i w Polsce, publikowane były również wielokrotnie w prasie krajowej i zagranicznej, a także w wielu wydawnictwach książkowych i albumowych. Opracowany wspólnie z Mirosławem Wiśniewskim album *Polska – dwory, dworki* wydany w 1992 roku rozszedł się w ciągu paru tygodni. W 2012 roku wyszła w wydawnictwie „Helion” jego książka, podręcznikowo-instruktażowa *Kalejdoskop fotografii*, która zebrala znakomite opinie i recenzje, jeżeli chodzi o przydatność porównywaną nawet ze starym, ale ikonicznym podręcznikiem Tadeusza Cypriana. Projekt kolejnej książki poświęconej sopockim twórcom nie doczekał się na razie – niestety – realizacji, chociaż dla jej potrzeb powstała wystawa w sopockim Dworku Sierakowskich.

To temat i miejsce nieprzypadkowe, bo Pękalski to jeden z najdłuższych stażem mieszkańców nadmorskiego kurortu, bowiem trafił tu wraz z rodzicami jako jednoroczne dziecko w roku 1945. W tym samym miejscu niedawno zaprezentował też artysta swoją kolejną indywidualną wystawę, poświęconą francuskiej stolicy, a właściwie jej ulicom i ludziom. Ta ostatnia sopocka wystawa może zatem stanowić pewien punkt odniesienia do skromnego wyboru czarno-białych fotogramów, które przedstawiamy dziś naszym czytelnikom.

„Jeśli potrafisz poczuć zapach ulicy patrząc na zdjęcie to masz do czynienia z fotografią uliczną” – napisał kiedyś doskonały amerykański fotografik, samouk, Bruce Gilden. Ta najprostsza, bo wręcz intuicyjna definicja doskonale wpisuje się w filozofię i przesłanie, które towarzyszy ulicznym obrazom fotograficznym Leszka Pękalskiego, jakie prezentujemy na łamach „Słowa”. Ale im bardziej usiłujemy znaleźć właściwy klucz do jego wyborów, tym więcej pytań nam się nasuwa. Czy fotografia uliczna Pękalskiego to tylko ulotny obraz chwili i mały okruszek udokumentowanej rzeczywistości? A może to przemyślany reportaż wizualny czy też może autorski zapis otoczenia? A może to tylko przypadek, okazja, chwila, mgnienie oka – i spowodowane zaobserwowaną sytuacją naciśnięcie spustu migawki?

W fotografii ulicznej przypadek oczywiście odgrywa ważną rolę. Bo nikt nie jest przecież w stanie przewidzieć, co i kogo (a także w jakiej „scenografii”) spotka na swojej drodze akurat tego dnia. Ale też nie każdy fotografik odnajdzie się w tej roli przypadkowego kronikarza mało istotnych – na pozór – wydarzeń, anonimowych postaci i ulicznego tł. Być we właściwym czasie we właściwym miejscu. I zrobić najlepszy użytek z aparatu fotograficznego, który jest tylko narzędziem. Bo to przecież wcale nie aparat, nawet najdroższy i naszpikowany nowoczesną technologią, jest odpowiednim kluczem do rejestracji ulicznych obrazków, ale oko jego właściciela i talent do ocalania wartych uwiecznienia chwil.

„Fotograf nie przestaje widzieć, nie przestaje kadrować, nie włącza się i nie wyłącza jak aparat. Jest fotografem przez cały czas” – powiedziała jedna z największych dam fotografii, Annie Leibowitz.

Tak, niewątpliwie Leszek Pękalski nie przestaje być fotografem ani na chwilę, również (a może przede wszystkim?) przemierzając ulice Nowego Jorku, Paryża, Sopotu czy jakiegokolwiek innego miejsca, do którego trafi. To jest właśnie esencja ulicznej fotografii – obraz, którego nikt inny w tamtej, niepowtarzalnej przecież chwili, nie zobaczył, nie dostrzegł i nie zarejestrował. Obraz uwieczniony, utrwalony i wielokrotniony na kolejnych odbitkach. Czas zatrzymany, aby wielokrotnie do niego powracać... Jak to możliwe? Przecież to zaledwie ułamek sekundy, bo tyle trwa błysk fotograficznej migawki. Ile zatem w takim – ocalonym dla siebie i przypadkowych widzów – obrazie jest prawdy, ile fotograficznej perfekcji, ile twórczej kreacji, ile autorskiego spojrzenia, a ile przypadku? I czy to na pewno przypadek, skoro fotograf nigdy nie przestaje kadrować? A może dodatkowo jeszcze jest to wyjątkowa sztuka – dana tylko nielicznym – układania większej całości z rozrzuconych – jak puzzle – małych obrazków?

Powtórzmy zatem za Annie Leibowitz, że najlepszy autor zdjęć nigdy nie przestaje być fotografem, cały czas przetwarzając w swoich oczach i głowie napotkane obrazy na

kolejne kadry fotograficznej, ulicznej opowieści – o ludziach, miejscach i chwilach. Każda napotkana osoba, każde miejsce, każda scena jest bowiem warta uwagi i uwiecznienia, zatem obiektyw aparatu musi być zawsze w pogotowiu, przygotowany na zatrzymanie upływającego czasu (i kapryśnego światła). A dłoń fotografa – do natychmiastowego naciśnięcia przycisku migawki. Bo nie umie on i nic chce wylogować się z fotograficznej rzeczywistości nawet na krótką chwilę. Bo żyje i oddycha właśnie w powracającym rytmie trzasku migawki. To jednocześnie artystyczny, twórczy dar, ale i pewne przekleństwo codzienności, bo takiego spojrzenia – przez kadr aparatu – nie da się wyłączyć, z tym żyje się cały czas. Ale dzięki temu darowi możemy z pewnością poczuć w zdjęciach Leszka Pękalskiego smak i zapach ulicy. Możemy na – zatrzymaną na jego zdjęciach – chwilę znaleźć się w zupełnie innym miejscu i innym towarzystwie. I na taką magiczną podróż – do zatrzymanego czasu – właśnie Państwa zapraszamy wraz z autorem prezentowanych w tym numerze zdjęć.

Wojciech Fułek

poniżej **Kacwin, 1977;**
po prawej góra **Wysoka i Ganek z Przetęczy Stwolskiej;**
po prawej dół **Łeba;**
fot. Leszek J. Pękalski





Maciej Prus – ktoś pomiędzy

Tomasz Miłkowski

Dla mnie podstawą zawsze pozostanie dramat. I aktor. Przywiązuję szaloną wagę do możliwości aktora.

Maciej Prus, „Kierunki” 1986, nr 30

Kiedy odchodzi twórca niepośledni, mnożą się na pożegnanie skrzydlate epitety w nadziei, że uda się pochwycić w jakieś odkryte zdanie twórcę, którego właśnie zabrakło. Tak też było wraz z odejściem Macieja Prusa, którego nazywano „ostatnim romantykiem”, „ostatnim młodym zdolnym”, „operomaniakiem”, „nieuleczalnym Szewcem” (od Witkacego), „reżyserem aktorów” i kim tam jeszcze. Wszystko to w pewnym sensie prawda, ale jednocześnie towarzyszy tym określeniom poczucie mgławicowości i mylnego odczytania. W świadomości bowiem wielu teatromanów i krytyków, Maciej Prus niemal do końca życia pozostał asystentem Konrada Swinarskiego i Wandy Laskowskiej, z którą pracował nad dramatami Witkacego, a pośrednio Kazimierza Dejmka, który kierował Teatrem Narodowym w pierwszych latach terminowania Prusa w zawodzie reżysera (1966-1968), a potem za którego (Dejmka) dyrekcji w Teatrze Polskim zrealizował swoje sławne Szekspiry (*Ryszard III*, 1993, *Stracone zachody miłości*, 1994). To pod ich skrzydłami rozpoczynał reżyserską drogę w teatrze, a odbywszy termin pozostał w orbicie ich oddziaływania. Pewnie dlatego, kiedy nagle odszedł Kazimierz Dejmek, to właśnie Maciej Prus doprowadził do premiery jego ostatniego przedstawienia, *Hamleta* w dostojnym przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza (2003). Miał zresztą pracować z Dejmkiem w Teatrze Nowym w Łodzi. Pewnie z podobnych powodów po latach przedstawił rekonstrukcję filmowego *Fantazego*, którego Swinarski nigdy nie nakręcił.

Do mistrzów swojej młodości wciąż wracał. Nic dziwnego. Jako reżyser terminował przy *Nie-Boskiej komedii* Krasińskiego w inscenizacji Konrada Swinarskiego w Starym Teatrze w Krakowie (1965). Nie był wprawdzie asystentem Dejmka przy *Dziadach*, ale pracując wtedy w Narodowym jako aktor i asystent reżysera przyglądał się próbom. Jak sam zaświadczał, oglądał i słuchał Wielkiej Improwizacji w interpretacji Gustawa Holoubka na próbie generalnej bez publiczności, dodając, że było to najwybitniejsze jej wykonanie, w którym artysta sięgnął szczytów aktorskiej maestrii.

Przylgnęło do Macieja Prusa podejrzenie o bluszczość, wykorzystywanie metod Swinarskiego czy Dejmka, ale to tylko przyzwyczajenie do określenia „młodzi zdolni”



Maciej Prus | fot. archiwum Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego

sprawiło, że wciąż go uważano za następnego w kolejce. Tymczasem niestęchanie twórczy przypadek obcowania w pierwszych latach zdobywania artystycznej samodzielności z twórcami o tak odrębnym widzeniu teatru, jak Swinarski i Dejmek, dało Prusowi szansę zbudowania własnego teatru. Może nie była to trzecia droga teatru, ale na pewno ścieżka wiążąca doświadczenia i metody poszukiwań artystycznych charakterystyczne dla obu artystów. W sztuce reżyserskiej Prusa doszło do szczęśliwego związku wyobraźni i odwagi w interpretacji tekstu z absolutnym przywiązaniem do aktora jako przewodnika w teatralnej przygodzie. Reżyser miał mu przecierać drogę, ale to aktor ją zdobywał i dźwigał na wyższe stopnie. Umiejętność jednoczesnego korzystania z instrumentarium wyobraźni i dyscypliny warsztatowej miała owocować w twórczości Prusa dokonaniem niezwykłej miary, czasem nie do końca



Tadeusz Miciński *Kniaź Potiomkin* reż. Maciej Prus, Teatr „Wybrzeże” 1981, scena zbiorowa | fot. Jan Ledóchowski

docenianymi, a nawet pomijanymi, mimo że to on właśnie otwierał drzwi odmiennych interpretacji kanonicznych tekstów albo przywracał im blask przez wierność myśli i estetycznym kanonom.

Maciej Prus stworzył na własny użytek laboratorium teatru, w którym badał pojemność dzieł klasyki polskiej i światowej, szukał ich znaczenia i współbrzmienia ze współczesnością. Daleki od teatru aluzji czy politycznej kokieterii, pozostawał wyczulony na zapach czasu jak Kazimierz Dejmek i odważny w eksperymentowaniu jak Swinarski. Widać to było jak na dłoni w jego interpretacji *Ryszarda III*, którego swego czasu nie doceniłem, zbyt przywiązany do kanonicznej inscenizacji Jacka Woszczerowicza. Tymczasem to Prus dokonał wyłomu w tradycji czytania tego dramatu, blisko współpracując z Janem Englertem.

Kiedy Ryszard pojawia się w dramacie Szekspira, od razu przedstawia swój bezwzględny plan podporządkowania sobie świata. Zmierzają do tego celu konsekwentnie, badając z pewnym rozbawieniem granice dopuszczalnego występu. Wydaje się, że nie ma on kresu. Dopiero ostatnia noc, przed decydującą bitwą z siłami buntowników pod wodzą

Richmonda przynosi lęk. Nękają Ryszarda wówczas wyrzuty sumienia uosobione w defiladzie duchów pomordowanych krewnych i przeciwników, zagradzających drogę do władzy. Tej sceny nie ma w *Ryszardzie III* Macieja Prusa, dla którego tragedia Szekspira jest opowieścią o człowieku opętanym przez demona niszczenia. Demonem tym jest tutaj morderca do wynajęcia, u Szekspira figura podrzędna, narzędzie, u Prusa najwyraźniej diabeł-kusiciel. To jest Ryszard *Faustem* podszyty.

W przedstawieniu Prusa poza Ryszardem liczy się parada odartych ze znaczenia królowych. Nie ma dworu. Nie ma duchów. Nie ma mieszczaństwa. Nie ma bratanków. Wszystkich ich zastępuje morderca-kusiciel. U Szekspira to nie los kusi Ryszarda, ale Ryszard wyzywa na pojedynek los. Tymczasem w przedstawieniu Prusa Ryszard stawał się ofiarą zamysłów sił nienazwanych. Jan Englert z sukcesem nadawał Ryszardowi format Don Juana – szczególne miejsce w przedstawieniu przypadło scenom kuszenia kobiet – lady Anny (Marzena Trybała) i Elżbiety, królowej wdowy (Halina Łabonarska). To prawdziwe, godne jego siły niszczycielskiej przeciwniczki. Czyżby więc walka o władzę była walką płci?



Tadeusz Miciński *Kniaź Potiomkin* reż. Maciej Prus, Teatr „Wybrzeże” 1981, na zdjęciu Joanna Bogacka i Krystyna Łubieńska | fot. Jan Ledóchowski

Kto wie... Tak czy owak, taka – nowa bez wątpienia – interpretacja *Ryszarda III* spodobała się na gdańskim festiwalu szekspirowskim, z którego Prus wyjechał z Nagrodą Yoricka. Nie było tak dobrze z *Szewcami* Witkacego w Teatrze Polskim (2009), na którym recenzenci nie zostawili suchej nitki, choć to właśnie ten dramat Witkacego Prus ukochał najbardziej. Było to już jego piąte podejście do tego dramatu po przedstawieniach w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu (1971), warszawskim Ateneum (1971), PWST w Krakowie (1974) i Teatrze Dramatycznym w Warszawie (1991). Po drodze zdarzyła się Maciejowi Prusowi także radiowa realizacja (1990).

To zresztą typowa praktyka w laboratorium teatralnym Prusa. Reżyser wracał do wcześniej już wystawianych przez siebie dramatów i poddawał je rekonstrukcji, szukając nowych ukrytych znaczeń. Kiedy po nagraniu *Wyzwolenia* Stanisława Wyspiańskiego w Teatrze TVP (to jeden z utworów wznawianych w teatrze Prusa), ktoś powiedział, że mu dziękuję, bo nareszcie wie, o czym jest *Wyzwolenie*, zdziwiony reżyser odpowiedział: Tak? Cieszę się, bo mnie się jeszcze nie udało.

Szewcy to sztuka nieprzyjemna. Witkacy nie wdzieczy się do publiczności. Choć tak chętnie fotografował się z przedziwnymi minami, ścigał z innymi w językowej wynalazczości, zwłaszcza malowniczych przekleństw, mówi serio o tym, że „coś w nas trzaśło i już nie wiadomo, po co żyć”. To wyznanie I Czeladnika, poczynione po zamordowaniu Sajetana, określa bezwyjściowość sytuacji. To sytuacja

wyczerpania, kiedy idee utraciły żywotność, przyszłość rysuje się w barwach katastroficznych, a teraźniejszość nurza się w wyuzdanym erotyzmie – stąd u Prusa triumf super-baby – Księżnej.

Twórca pamiętnych inscenizacji *Szewców* w czasach PRL-u, kiedy czytane były jako manifesty polityczne (choćby wbrew reżyserowi), tym razem pragnął uwolnić się od doraźności, choć przecież i tak nie mógł do szczętu. Uważne oko i ucho dostrzegło bowiem w tym spektaklu dramat inteligencji, zwłaszcza bylej opozycji, która w nowych czasach traci złudzenia, obrasta tłuszczem i „dziczeje”.

„Nie będziemy gadać niepotrzebnych rzeczy” – deklaruje na samym wstępie Sajetan (Olgierd Łukaszewicz), znużony inteligent, który czepia się ostatniej deski ratunku – pracy jako sensu egzystencji, ale i „but-absolut” okazuje się już tylko mitem, a i sam Sajetan popada w bajdurzenie, czyli plecie całkiem „niepotrzebne rzeczy”. Prus, opowiadając o znużeniu i nudzie, ale i o lęku przed przyszłością po części referuje stan ducha Witkacego, który proroczo przewidział kataklizmy XX wieku, po części zaś nasze współczesne lęki powszednie, poczucie, że coś wymyka się z rąk, że coś „w nas trzaśło”. To był ważny głos w dyskusji o Polsce, Europie, o kondycji człowieka początku XXI wieku, żaden tam konserwatyzm czy gadanie „niepotrzebnych rzeczy”. Jeśli tak było, dlaczego tak klarownie poprowadzony wywód myślowy napotykał na przeszkody w odbiorze? Dlaczego tej intencji nie zrozumiano, nie doceniono, a nawet ją zlekceważono? Na przeszkodzie zapewne stanął język i warstwa filozoficzna sztuki. Trzeba się mocno napracować, aby wyłowić uchem (nie przeczytawszy wprzód *Szewców*) i zinterpretować liczne odniesienia filozoficzne, aluzje, paracytaty, komentarze – to jest naprawdę „naukowa sztuka”! W przedstawieniu Prusa język został doszlifowany w monologach Sajetana i kwestiach Czeladnika II (Marcin Jędrzejewski), ale nie wszyscy aktorzy przekroczyli próg zespolenia z językiem. Jednak główną barierą dla widzów było odczytanie *Szewców* jako profetycznej tragedii.

Te trudności komunikacyjne udało się idealnie pokonać Prusowi w swoich ostatnich przedstawieniach w Teatrze Narodowym, które można uznać za niezamierzone pokazy klasy mistrzowskiej, choć najwyraźniej były testami możliwości porozumienia z widownią. Myślę o *Łysej śpiewaczce* Ionesco (2013), poprowadzonej brawurowo na małej scenie teatru przy Wierzbowej i *Madame de Sade* Mishimy w sali prób (2016). Ten ostatni spektakl to istny cud idealnej interpretacji, gdzie konwencja czerpiąca z zasobów teatru nō została przetworzona w indywidualne kreacje, dzięki czemu pojedynki kobiet o władztwo nad uwięzionym markizem nabrało niebywałej ostrości. Te ostateczne przedstawienia uświadamiają, jak wielkiego dyrygenta teatralnego utraciliśmy, jak wiele jeszcze moglibyśmy się od niego nauczyć.

Tomasz Miłkowski

Ułóż mnie w kostkę, równiutko

Z Marcinem Makowskim rozmawia Wojciech Boros

Marcinie, moją pierwszą propozycję przeprowadzenia wywiadu i wydrukowania wierszy do dawnego „Autografu” odsunąłeś w przyszłość. Zdecydowałeś się na to dopiero teraz – na łamach „Słowa”. Co się zmieniło, że doszedłeś do wniosku, iż taka poetycka publikacja ma dla ciebie sens?

Swego czasu nie za bardzo interesowało mnie zamieszczanie swoich tekstów na łamach jakichkolwiek magazynów, ponieważ ja sam nie byłem też odbiorcą tych periodyków. I powiedziałbym, że niewiele zmieniło się w tym zakresie, raczej bywam przypadkowym czytelnikiem czasopism, tym niemniej widzę, że są ludzie, którzy po nie sięgają. Jest to lepsza forma dzielenia się swą twórczością i wiedzą z czytelnikiem niż blogerska, jeżeli nie ma się stworzonego własnego bloga. Dla człowieka takiego jak ja, który rzadko pisze i ma małe zasięgi internetowe, wydaje się to dobrym pomysłem.

Aktywnie współtworzysz trójmiejską przestrzeń poetycką jako uczestnik slamów, konkursów jednego wiersza itp..

Lubisz słuchać innych osób, które piszą lirykę, czy też bardziej zależy ci na tym, by to twoje teksty znalazły odbiorców?

W tym zakresie jestem osobą totalnie narcystyczną, nastawioną na siebie. Z drugiej strony podoba mi się sama możliwość budowania takiej przestrzeni, która skłania ludzi do wspólnych działań, tworzenia czegoś nowego. Jestem wielkim orędownikiem tego, co zaczęła Katarzyna Andrulonis w „Plamie” („Slam w Blokowisku” – przyp. W.B.), czy ty, Wojtek („Gdynia Slam” – przyp. W.B.) na przestrzeni naszych grup, co powoduje, że ludzie zaczynają się spotykać i jest to jedno czy też kolejne wydarzenia, na które przynosimy teksty, czytamy je i one istnieją. Czasami jest to po prostu ognisko w lesie albo na plaży i to też jest wydarzenie poetyckie, więc – tak, chcę i lubię być czytany, ale ostatnio mam jeszcze taką myśl, żeby być wśród ludzi jako człowiek, jako istnienie i to jest dla mnie ważniejsze.

W swoich wierszach eksplorujesz często pola relacji pomiędzy ludźmi – przeważnie: mężczyzną i kobietą.

Relacji niełatwych, zagmatwanych, momentami pięknych, a chwilami bolesnych. Czy myślisz, że ta kanwa mogłaby się stać podstawą twojego przyszłego debiutu książkowego?

To jest bardzo ciekawe pytanie dlatego, że mam pewien pomysł książkowy, tematyczny, który rozpisałem na pięćdziesiąt stron, ale jest to trochę za mało, żeby z tego była prawdziwa książka. Rzecz opowiada o relacjach, o współbyciu i o tym, jak trudne to współistnienie jest, chociaż

podstawowe rzeczy mamy załatwione i to jest zabawne. Mamy co jeść, mamy co pić, a cierpimy w relacjach międzyludzkich. Myślę, że to mnie zawsze interesowało, chociaż ostatnio zgłębiam tematy nieco bardziej techniczne, jeśli chodzi o relacje społeczne, o to jak układa się tkanka polityczna. Ciekawi mnie język symboli, a także język jako struktura tworzenia się społeczeństwa. Zdecydowanie: tkanka społeczna i głębokie relacje, które dotyczą prawdziwego mówienia o sobie, o tym co jest dla nas ważne, a nie tylko wymienianie się informacjami na temat, co się ostatnio wydarzyło, w jakim miejscu, gdzie co jedliśmy i tyle.

Teksty, które nam proponujesz są przemyślane, pozbawione zbędnych słów, a także momentami mocno osadzone w filozofii, co nie zawsze jest domeną poezji, która lubi odpływać w nieznane. Wydają się być zaproszeniem do poważnego dyskursu – liczysz na wnikliwego Czytelnika/czkę, kogoś kto zrozumie twoją wizję od A do Z?

Bardzo rzadko myślę o Czytelniku pisząc. Często myślę o samym sobie oraz o jednej czy dwóch konkretnych osobach, które ten tekst przeczytają albo usłyszą na kolejnym slame i próbuję to zrobić tak, by tekst przynajmniej do tych konkretnych osób jakkolwiek trafił, bo jeżeli mam wiersz, który do nikogo nie trafia, to jest dla mnie bez sensu. Mogę w nim umieścić masę zwrotów poetyckich albo filozoficznych rozważań i uczynić go może intrygującym na poziomie semantycznym, ale wtedy on nie spełni swojej roli slamej, a taka jest rola większości moich tekstów – one są performatywne. Acz linka semantyczno-filozoficzna będzie się zawsze obok mnie ciągnąć. Mam tam zawsze haki, dzięki którym można zrozumieć o wiele więcej, podpinąć się do nowych znaczeń, czy też znaleźć odniesienia np. do twórczości Slavoj Žižka. Liczę na kogoś, kto będzie chciał się zaczepić o dany punkt w tekście, spytać, sprawdzić, zobaczyć, co tu się wydarzyło, bardziej niż na to, że stanę się błyskotką. Zarzucam haczyk z konkretną przynętą, która jest delikatna, a jeżeli kogoś ona zainteresuje, to ten haczyk zatnę i tam będzie kolejna przynęta, i kolejna, i można tak ciągle przeszukiwać od jednej do drugiej – jeśli ktoś ma na to ochotę.

Czego szukasz w poezji innych osób, a może jednak bardziej kręci cię proza, czy muzyka? Gdzie najczęściej lubi przepadać Marcin Makowski, gdy nie jest zanurzony w wierszu?

Piękne pytanie! Na początku chciałem po prostu odpowiedzieć: muzyka. Często zakładam słuchawki i słucham na przykład Christiana Löfflera, ale jeśli chodzi o tekst, to znów pojawi się narcyzm. Lubię wracać do własnych tekstów i odnajdywać tam siebie. Jak siebie tam nie odnajduję, to mówię: „O, matko, jaki słaby tekst napisałem”. W ten sposób sprawdzam, czy nie zagubiłem ważnej części siebie na rzecz poezji. Z prozą jestem ostatnio na bakier, bo dawno jej nie czytałem. Natomiast ma ona w sobie taki element,

który pozwala na rzeczywiste zanurzenie się w znaczeniach i w bytach, które współistnieją ze sobą w kontekstualnych wydarzeniach. Na chwilę obecną szukam jednak poezji w muzyce, więc jeżeli zdarza się muzyka „poetycka”, czyli to, co na przykład czasem robią Jakub Karaś i Piotr Rogucki, bez względu na to czy się nam podoba ta forma czy nie, jest to pewien kunszt krążenia pomiędzy tymi dwoma światami w tym sensie, o którym mówię.

rozmawiał Wojciech Boros



po lewej
Trafalgar Square 1990;
po prawej

| fot. Leszek J. Pękalski



Marcin Makowski

RICK BLANE ZAPALA NASTĘPNEGO PAPIEROSA

myślałem o śmierci, znowu, a dzień był słoneczny
słowem – było w sumie pięknie, gdyby nie
ta myśl, parszywy termin podatkowy
należałoby to wszystko rozliczyć wreszcie

minęły już całe lata, a jeszcze nie dopaliłem
a więc stoję ściskając zapalniczkę, jest
jeszcze ciepła, oparzyć się można nawet
przechodzę przez ulicę i do następnego

baru wchodzę, ze wszystkich barów
ze wszystkich miast, nie uwierzysz, wchodzę
jak do siebie a ciebie tam nie ma nawet
słowem – pusto. mówię sobie: można wyjść.

to znaczy jesteś, ale nie rozmawiasz ze mną
uciekasz wzrokiem. zaczyna się obojętnością
to nic myślę sobie i nie uwierzysz nagle stoję nad
Bałtykiem wycieram oczy w kiblu opłukuję twarz

nie pomoże tu żadna ilość whisky z lodem. myślę
to nie jest początek pięknej przyjaźni

SŁOWNIK

odsyłam mnie dalej jestem
już tylko w przypisie
przełożony z jednego języka na drugi
wiernie i pięknie
ze spisem treści i indeksem formy
nabieram znaczenia

w twoich ustach

IDEALNA

idealna partnerka
ma problemy z krążeniem
widoczne w postaci pomarańczowych
plam na nogach
po wyjściu z kąpieli

sypia zawsze w grubych skarpetkach
kolorowo nieatrakcyjnych
które jednak nie przeszkadzają
tak bardzo jak to by się mogło wydawać
gdy się kochamy

ma niskie poczucie wartości
bycie obiektem szczerego zainteresowania
budzi w niej uczucie niepokoju

zrobi wszystko by czuć się kochana
myśląc że nie zasługuje na miłość
to powoduje

bulimię
anoreksję
(szkliwo uszkodzone wymiocinami)

alkoholizm
samookaleczanie
(żyłtką wycięte na brzuchu: JESTEM WINNA)

próby samobójcze
(ma pani szczęście, że nie skończyło się
na płukaniu żołądka)
brak szczęścia

uzależnienie od narkotyków
przemocy
i seksu

ma małe piersi
i sylwetkę
na którą nikt nie spogląda ukradkiem

problemy z ojcem
a najlepiej brak ojca
będą stanowiły

dodatkowy atut

ANTYPRZYJACIEL

poznałem antyprzyjaciela
osobę na którą spokojnie
mogę nie liczyć
która zawsze
mi nie pomoże
w najważniejszych chwilach
sama się zabraknie
mogę
kiedy tylko zechcę
swobodnie się do niej
nie odzywać
stęskniony kontaktu nie wpadać
o dowolnych porach
dzielić się z nią brakiem
obdarzać niezaufaniem
udzielać pomocy
nieskutecznej

dzięki ilości czasu
którego mi nie poświęca
i rzeczom których dla mnie nie robi
życie staje się
o wiele bardziej

RANA, KTÓRĄ KOCHASZ

ugryź mnie jak owoc poznania
dla mnie daj się wypędzić i rodzić w bólu
chcę być sensem
bez którego rozpadają się światy
którego brak
przyprawia cię o samobójstwo
chcę wlać się w ciebie aż zaczniesz
się topić i pokochasz brak powietrza
chcę być drzazgą w twoim podniebieniu
byś ranił o mnie język każdym słowem

i chcę
byś to wiedział

dla mnie chcę byś chciał
profanować to, co dla ciebie czyste
i tylko nie mów mi
że w głębi siebie

nie chcesz być
tak samo ważny

TWÓJ CHŁOPAK, TEN, Z KTÓRYM NIE CHCESZ BYĆ

któregoś dnia, jego cudowna natura lekkoducha, nie zapełni lodówki
muzyka, której wspólnie słuchaliście nie pozwoli czytać książki
uspokajający niegdyś ton stanie się protekcyjny
znowu nie posprząta w łazience
jak zawsze, zbagatelizuje

któregoś dnia obudzisz się obok niego i nie będzie
już ładnie pachniał
dotyk przerodzi się w unik a pocałunek w usta
trafi w policzek

któregoś dnia zamiast westchnąć będziesz wzdychać ciężko
przewrócisz oczami, o matko, ten znowu o tym samym
i żeby już sobie poszedł, wyjechał, albo przepadł bez śladu
jak kamień w wodę, żeby nie trzeba było się tłumaczyć, iść na pogrzeb i nosić żałoby
nie musieć go już słuchać, bać się o niego, troszczyć lub martwić
udawać, że cieszysz się na jego widok

któregoś dnia to mogłoby się stać
coś za Ciebie mogłoby to już przestać

któregoś dnia obudzisz się, on będzie siorbał herbatę, ubrudzi koszulę
założy stare buty, burknie coś pod nosem i
zrozumiesz
że łączy was już tylko miłość

Disce puer latinae...

Wojśław Brydak

Moi koledzy z podstawówki czasem fiakrowali. Ściślej: jeżeli tata akurat nie nadawał się do użytku, to kozioł dorożki czy sanek przejmował syn, wywijał batem i woził ceprów od zakopiańskich Kuźnic po Kościelisko bądź Cyrhlę bez względu na pogodę.

Szkoła była męska (do lat pięćdziesiątych zeszłego wieku powszechnie dzielono szkoły w ten sposób), co oznaczało, między innymi, spory rejon. Zatem kolega spod domu na Groniku zasuwiał zimą do szkoły w centrum Zakopanego na biegówkach, by po lekcjach zaliczyć powrót – znów parę kilometrów – tym razem pod górę. Ktoś inny mieszkał przy końcu Drogi Do Białego i na trasie do szkoły ćwiczył marsze na dystansach średnich. Nie było mody na korepetycje, natomiast pewien furman, ojciec jeszcze innego kolegi, wprawdzie nie odwiedzał wywiadówek, za to wpadał do klasy podczas zajęć, bez zapowiedzi, i gromko wypytawał o dziecię, dierzając w dłoni autentyczny bat. W razie rodzicielskich rozczarowań gorąco pragnął wymierzyć sprawiedliwość na miejscu. Wychowawczyni własną piersią osłaniała jego dziecię, rozkręcała się awantura, klasa zaś miała ubaw po pachy oraz pouczający wykład o różnicach kulturowych. W takim Zakopanem przemieszanie uczniów z domów wiejskich i miejskich było w tamtych czasach nieuniknione.

Dzisiaj ta moja szkoła z dzieciństwa wydaje się tworem z Księżycy albo z powieści historycznej. Kiedy w kaszubskich Kartuzach przejeżdżam na rowerze obok podstawówki, na obszernym parkingu ruch jak w ulu. Rodzice to przywożą dzieci, to odwożą, to znów przywożą, oczywiście samochodami. Wkrótce samodzielne dotarcie dziecka na zajęcia zacznie uchodzić za ekstrawagancję. Czasy zmieniają się ekspresowo.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia w dowolnym pociągu nieśpiesznie przemierzającym Kaszuby kobiety w wieku średnim-plus wyglądały jak przebrane po cywilnemu zakonnice. Włosy siwe, zero makijażu, stroje w różnych odmianach czerni, gruntownie wyprana i wyegzorcyzmowana seksowność. Dzisiaj kobiety w tym samym wieku siedzą za kierownicą samochodów zajeżdżających pod szkołę i sprawnie manewrują, zadbane, kolorowe, niekiedy wręcz powabne; znacznie młodsze na pozór. Nie różnią się niczym od mieszkanki większych miast, podobnie jak towarzysząca im dzieciarnia, mówią tym samym standardowym językiem jakim mówi większe miasto, a przecież często włączają rozrusznik pod tymi samymi domami,

z których niegdyś piechotą ruszały na dworzec kolejowy ich zakonnice babki.

Stara szkoła, z mojego dzieciństwa, miała tę zaletę, że – między innymi – uczyła życia dzięki kolegom wychowywanym na wsi (lub jak na wsi), a przecież siedzącym w szkolnych ławkach obok domytych chłopczyków z głównej ulicy; uczyła dzięki zdarzeniu różnych obyczajów, kiedy raz bywa górą osiłek z wielką pięścią, kiedy indziej dobry narciarz, czasami okularnik najszybszy w rozgryzaniu matematycznych wzorów, bądź sypiący, jak z rękawa, datami historycznymi. Bardzo różni chłopcy umieli się zaprzyjaźnić, zrozumieć. Dość powszechny był zamiar osiągnięcia czegoś, chociażby statusu kolegi z rodziny lepiej uplasowanej społecznie. Szanse czekały, do starań zapraszało ówczesne zróżnicowanie tej czeredy.

Porównując szkołę dawną i dzisiejszą nie wolno pominąć jeszcze jednego: przemocy. Walenie po łapach linijką bądź ciężkim drewnianym piórnikiem było w przeszłości na porządku dziennym, funkcjonowała jeszcze „koza” czyli odsiadki za karę jakichś przewin, a dom rzadko kiedy był schronieniem, tam lanie także uchodziło za wypróbowaną procedurę wychowawczą.

W dzisiejszej szkole tematy egzaminacyjne z polszczyzny wydają się ciekawsze i wymagają bardziej samodzielnego myślenia, a zadania fizyczne czy nawet matematyczne to wręcz inny świat. Nie mam pojęcia jak sobie radzi z nimi dzieciarnia albo młodzież, na studiach jednak najczęściej natrafia się na bractwo rozgarnięte, o otwartych głowach. Dawnej różnorodności nie ma, za to – wydaje się – jest poziom. Nauk życiowych mniej, książkowych więcej, lanie zaś jest po prostu karalne. Poza tym? W tej starej szkole na porządku dziennym byli szkolny dentysta i higienistka; dzisiaj zaś szkoła domaga się dla młodzieży psychologa i łatwego kontaktu z psychiatrą, ponieważ – dziwna historia – rośnie liczba dziecięcych samobójstw...

Wyrokować dziś o wyższości jednej czy drugiej szkoły to nonsens. Z obu wychodzili i wychodzą uczniowie nieźle kształceni, niekiedy nieprzeciętni, by potem ruszyć na cztery strony świata, uskrzydleni zainteresowaniami, kuszeni możliwościami. Owszem, jak powiadał po łacinie pewien

król Franków: czasy zmieniają się, a my wraz z nimi. Mimo to szkoła, chociaż też się zmienia, pozostaje tym samym bytem, o którego jakości decydują w mniejszym stopniu struktury, za to w istotnym – dobrzy nauczyciele.

Pięknie. Polskie szkoły wciąż osiągają przyzwoite notowania w różnych rankingach. Mimo ciemnogrodzkich poczynąń rządowych wciąż jeszcze nie odbiegają od europejskich miar. Wśród laureatów uczniowskich olimpiad nie brak polskich laureatów. Wobec tego – trudno i darmo – nasuwa się pytanie: jak to jest, że w Polsce wciąż dominuje zacofanie, przez niektórych postrzegane jako narodowa cnota, objaw patriotyzmu i świadectwo gorliwości religijnej?

Jakie zacofanie? – ktoś zapyta. Miliony prywatnych samochodów, komputerów, zmywarek do naczyń i domowych robotów, to jest zacofanie?

Cóż, w masowym kupowaniu tego, co wcześniej kupili sobie inni, zbiorowość polska imponuje, co fakt to fakt.

Ale – z drugiej strony – pierwszą elektrownię atomową budujemy już 52 lata, przy czym to przedsięwzięcie nadal składa się z niezliczonych zapowiedzi, lokalizacyjnej hysterii oraz monumentalnych ruin pod Żarnowcem. Ale – wciąż z drugiej strony – chociaż świat nie na żarty zajął się zagrożeniem planety przez poczynania człowieka, to na tym tle Polska dzielnie stara się być w ogonie zmian, działać jak najmniej i – być może – stać się oazą ekologicznego zapuszczenia, trujących rzek i dławiącego powietrza. A na dodatek spora część zbiorowości lgnie do obyczajowych norm średniowiecza...

Przejeżdżam na rowerze obok kartuskiej podstawówki, podziwiam parking, auta pełne dzieciarni. Fajna szkoła. Ale co z tego?

Wojśław Brydak



Dzianisz, 1977 | fot. Leszek J. Pękalski

Tęsknica

Marcin Jacobson

Z coraz większym niepokojem odbieram poranne SMS-y, bo zbyt często do-
wiaduję się, że ktoś ze znajomych odszedł na zawsze. Kropli żalości dodaje do
tego konstatacja, że choć często były to osoby znane i wnoszące sporo kolory-
tu w naszą codzienność, to media coraz rzadziej ich zauważają – *c'est la vie*?



Andrzej Kaźmierczak (1979) | fot. ze zbiorów autora

W muzycznej branży funkcjonuję od ponad pół wieku i pewnie dlatego tak trudno pogodzić mi się z tym, że od począt-
ku pandemii, w skali globalnej, opuściło nas blisko tysiąc
rozpoznawalnych muzyków. W Polsce odeszło ich prawie
stu i, co najgorsze, w większości ich znałem. Na Wybrzeżu
ich liczba jest proporcjonalnie mniejsza, ale i tak większość
obecnych autochtonów ich nie pamięta, choć ich dorobek

wykraczał często poza nasz region. Dlatego pozwoliłem so-
bie przywołać ich jeszcze raz z imienia i nazwiska – Ryszard
Kruza (1939-2020), Zbyszek Szymaniak (1949-2020), Artur
Przygoda (1964-2021), Marian Zacharewicz (1945-2021),
Bogusław Skawina (1948-2021), Sławek Łuba (1960-2021),
Zbyszek Bernolak (1939-2021), Maciej Kossowski (1937-2021),
Tomek Rozwadowski (1964-2021), Zenek Miluski (1953-
2022), Paweł Juszczenko (1944-2022), Krzysztof Jarkowski
(1954-2022), Mikołaj Flont (1967-2022), Ludomir Marcin
Januszkiewicz (1945-2023), Zbyszek Sentkowski (1949-2023)
i Lucjan Woźniak (1937-2023). Przed kilkoma tygodniami
(13.05.2023) do tego grona dołączył Andrzej Kaźmierczak,
uznany gitarzysta, kompozytor oraz współtwórca popular-
nych w kraju zespołów: Cytrus i Korba. Miał 69 lat.

Poznaliśmy się w 1979 roku podczas Przeglądu Jeszcze
Młodszej Generacji w Żaku. Zjawił się tam z Marianem
Narkowiczem (1954-2012), z którym wspólnie założyli grupę
i zgłosili do konkursu. W formularzu zabrakło nazwy, na co
zwróciłem im uwagę. Byli mieszczeni. W końcu Andrzej za-
pytał, czy może to być Zoppot, ale Marian od razu dorzucił:
„Ale tak nie musi być”. Obaj, najwyraźniej mieli świadomość,
że władza nie lubiła wtedy Niemca, a oni chcą tu wygrać.
W tydzień później udało im się – i to był pierwszy występ
grupy Cytrus.

Pomagałem im trochę. Spotykaliśmy się często, zada-
wali mnóstwo pytań, ale też prawie nie mówili o sobie.
Ponieważ dowiedziałem się, że Andrzej jeszcze w liceum
podkochiwał się w mojej siostrze, no i obaj z Marianem na-
broili trochę w swoim życiu. Obaj wybrnęli z tego. Andrzej
poszedł na studia, które porzucił dla muzyki, ale też został
cichym mentorem dla młodszych uczniów ekonomii.

Andrzejowa fascynacja muzyką zaczęła się nietypowo. Jego
mama dostała ze Stanów prezent w postaci szafy grającej,
która przez lata grała w Rudym Kocie. To imponujące
urządzenie regularnie zasilane było najnowszymi singlami,
więc Andrzej miał czego słuchać. W końcu własnoręcznie
wystrugął sobie gitarę elektryczną i zaczął na niej grać. Gdy
osiągnął już odpowiedni poziom, dostał jeden z pierwszych
egzemplarzy znanej dziś marki Mayones, którą stworzył wte-

dy, pochodzący też z Wybrzeża, Marian Jakubowski (M&H). Andrzej kochał Jimi Hendrixa, potrafił go grać, ale szukał też swojej drogi. Życie estradowe zaczynał w Kwartecie Gitar Klasycznych, a później grywał w zespołach: Kawatek Ściany, Truskawkowy Budzik, no i Cytrus oraz Korba, które działały przez ponad dekadę. Po tym wszystkim nastąpił przełom i to w bardzo złożonych „okolicznościach przyrody”, w wyniku których porzucił muzykę i poszedł „w biznesy” – po cichu nagrał autorską płytę, ale oficjalnie jej nie wydał. Pomagał też schorowanemu Marianowi.

Nie widzieliśmy się prawie przez dwie dekady. W pewnej chwili uznałem, że może warto wydać na kompakcie Cytrusa, który nie dorobił się wcześniej żadnej płyty. Odnowiliśmy kontakt i Andrzej, jak dawniej, nadal zadawał dużo pytań i nadal niewiele mówił o sobie. Chcąc napisać notkę na tę pierwszą ich płytę, zapytałem czy wciąż gra. Przytaknął

i rzucił jakąś dobrze brzmiącą angielską nazwę. Gdy poka-
załem mu ów tekst do korekty, odrzekł z właściwym sobie
poczuciem humoru: – No tak, wszystko się zgadza, tylko że
ta angielska nazwa to nie mój zespół, a gra komputerowa.
W sumie wydaliśmy razem cztery kompakty Cytrusa: „Kurza
Twarz” (2006), „Tęsknica” (2007) i „Bonzo Live” (2022) oraz
„Biały rower” (2005) Korby.

Widywaliśmy się wtedy po kilka razy w roku. Widziałem,
że różne schorzenia coraz bardziej dają mu w kość, ale też,
że nie traci pogody ducha, empatii, i swoistego sarkazmu.
Gdy na jedno z ostatnich naszych spotkań przyniosłem mu
winyłową płytę „Trzecia tza od słońca” Cytrusa (2021), był
wyraźnie wzruszony. Na wyjściu powiedział wtedy: – Wiesz,
jestem już spełniony – a do mnie poniewczasie dotarło, że
to było takie nasze pożegnanie.

Marcin Jacobson



Po co nam krytyka muzyczna?

Joanna Schiller-Rydzewska

Krytyka muzyczna – dziedzina, która na gdańskim Wybrzeżu umarła wraz z jej wybitnymi przedstawicielami: Romanem Heisingiem, a później Wandą Obniską w modelowej sytuacji powinna systematycznie wspierać kulturę muzyczną. Idea takiego pisarstwa nie leży w wyzłosciwianiu się na mniej lubianych kolegach z branży. Choć oczywiście znamy autorów, którzy ulegają tej pokusie.

Znaczenie tekstów, które powstają po koncertach, jako komentarz wyrażony opinią fachowca jest dwojakie. Po pierwsze na ich podstawie uczestnik/słuchacz wydarzenia weryfikuje osobiste intuicje. To nie znaczy, że sztuki nie odbiera się indywidualnie, oczywiście – każdy ma prawo do własnego gustu. Chodzi o to żeby lepiej rozumieć dzieło, z którym obcowaliśmy i nie dać zmanipulować się wykonawcy. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że na kreację wizerunku artysty pracuje dzisiaj cały przemysł muzycznego biznesu zaopatrzony w narzędzia i techniki, którym nie umiemy się oprzeć. Wykonawcy więc (i trudno im się też dziwić) bardzo chętnie wchodzą w rolę „królów Facebooka”, gdzie weryfikacją wartości jest liczba tak zwanych lajków. Ten weryfikator uniesionego kciuka sprawdza się w wielu dziedzinach życia, dlatego nie miałyby się sprawdzać w sztuce? Tu rodzi się pytanie o istotę sztuki wysokiej, muzyki wysokiej szczególnie (celowo unikam popularnego określenia „muzyka poważna”, które jest tak samo chybione, jak „muzyka rozrywkowa” w stosunku do sztuki masowej/popularnej). Kultura wysoka poszukuje słuchacza wrażliwego, gotowego na opuszczenie tak zwanej strefy komfortu, chce abyśmy doświadczyli „przeżycia znaczącego”, a tym samym być może przewartościowali swój świat, doznali działania oczyszczającego – *katharsis*. Jest obszarem zrodzonym z osobistego, głębokiego doświadczenia twórcy (*diltheyowskie Erlebnis*) i wyrażonym przez niego w dziele (*Ausdruck*). Czasem to doświadczenie bywa tak bliskie, że uznajemy je za swoje, czasem odwrotnie: pozostaje dla nas tajemnicą. W każdym jednak przypadku wymaga od nas reakcji, nie pozwala przejść obojętnie. Aż tyle i tylko tyle.

Nie jest więc celem kultury wysokiej przypodobanie się wszystkim. A nawet więcej: chodzi o to, aby podobać się nielicznym. Kryteria facebookowe nie przystają więc zupełnie do jej istoty, rządzą się innymi prawami. Funkcję probierza wartości w sytuacji modelowej może lub powinna więc pełnić krytyka muzyczna, stanowiąc ważny wentyl bezpieczeństwa dla obu uczestniczących w muzycznych życiu stron: słuchacza i wykonawcy. Wyrażanie fachowej, a nie masowej opinii buduje bowiem społeczne zaufanie, pozwala rozumieć i doświadczać pełni uczestnictwa w kulturze.

I tu pojawia się druga funkcja krytyki muzycznej, która jest

także niezwykle cenna dla wykonawcy. Krytyk wypowiada się bowiem jako ekspert. Dlatego właśnie jedna dobra opinia krytyka warta jest miliona polubień. Wykonawca zyskuje pewność, że jego artystyczna kreacja ma sens, może nawet tworzy nową jakość. Dobry krytyk potrafi wskazać niedociągnięcia i pochwalić zalety. W swojej pracy korzysta nie tylko z wiedzy, ale i z doświadczenia. Stoi pomiędzy wykonawcą i słuchaczem, ale nie jest po żadnej ze stron. Co się dzieje jeśli krytyki nie ma? Rozejrzyjmy się dookoła. Oto prowadzący różne koncerty i znakomity w tej roli redaktor radiowy bez mrugnięcia okiem oświadcza, że muzyka Grażyny Bacewicz pozostaje poza światowym dorobkiem, jest tylko naszym polskim (prawdopodobnie prowincjonalnym więc) dziedzictwem, a w dodatku XX-wiecznym (ten okropny wiek XX). Natomiast w drugiej części koncertu pojawi się wreszcie „repertuar światowy” i znakomity, czyli XIX-wieczny: Symfonia d-moll Roberta Schumanna.

Na tym samym koncercie wybitny solista, o światowej sławie, którego wielką zasługą jest ożywienie polskiej działalności kompozytorskiej (twórca bowiem piszą muzykę specjalnie dla niego), pozwala sobie na wykonanie zadedykowanego mu koncertu z nut i w dodatku myli się w sposób ewidentny. Sam utwór zresztą jest znakomity, dynamiczny i liryczny zarazem, pozwala zabłysnąć wykonawcy i w pełni wykorzystuje potencjał drzemący w orkiestrze. I publiczność doskonale to od razu wyczuwa. Ale czy dzieło z XXI wieku może być naprawdę dobre, skoro nie należy do „światowego repertuaru”?

Inny koncert. Orkiestra o wielkim dorobku, być może jedna z czołowych europejskich orkiestr w swoim przedziale (tak, mamy takie zespoły w Trójmieście), podczas koncertu w swojej siedzibie pozwala sobie na szereg błędów: nieczyści, nierówne wejścia, błędy artykulacyjne. Jednocześnie prowadzący, jako „światowe prawykonanie” (a więc wydarzenie o wyjątkowej randze) anonsuje marny, kiczowaty i eklektyczny utwór. Oczywiście nieświadoma swoistej manipulacji publiczność kupuje tę narrację i nagradza owo „światowe prawykonanie” owacją na stojąco.

Jak się ustrzec takich sytuacji, jak zmusić wykonawców do większego zaangażowania, jak wreszcie kształtować świadomą publiczność, która nie będzie klaskać po każdej części symfonii, czy koncertu? Szansą jest nowoczesne pisarstwo muzyczne, w tym krytyka muzyczna. Dziś jej potencjał wzmacnia paradoksalnie powszechna medialność społeczna. Obyśmy nie zaprzepaścili tej szansy na lepszą jakość kultury muzycznej, na którą z pewnością Trójmiasto zasługuje.

Joanna Schiller-Rydzewska



Ochotnica Górna, 1977
Ostonino, powrót ze szkoły | fot. Leszek J. Pękalski



Audionomia. Na początku był dźwięk

Małgorzata Żerwe



Julia Brykczyńska z Funduszu Obywatelskiego im. Henryka Wujca wręcza Piotrowi Pawlakowi główną nagrodę podczas gali Audionomia Award 2022
| fot. dzięki uprzejmości organizatorów

Majowy wieczór w Mediatece Europejskiego Centrum Solidarności, pierwsza odsłona cyklu „Film bez obrazu”. Kilkadziesiąt osób w skupieniu słucha dźwięków. Śpiew ptaków, potem w przyjazny klimat lasu wdziera się wołanie o pomoc, helikoptery, ujadanie psów, kaszel dziecka, prośba o ratunek, groźne pokrzykiwania pograniczników, i znów wołanie o pomoc, helikoptery, ujadanie psów, kaszel dziecka, lament kobiety, i znowu, i znowu, aż wybrzmi ostatnie „help me”. Publiczność zastyga w milczeniu. Czuje się emocje pobudzone dźwiękiem. Słuchaliśmy pracy Las gdańskiego twórcy Piotra Pawlaka, który swoją przejmującą opowieścią o tragicznej sytuacji na granicy polsko-białoruskiej wygrał konkurs Audionomia Award 2022.

Cykl „Film bez obrazu” to przedsięwzięcie Fundacji Audionomia zawiązanej w 2021 roku z inicjatywy twórców radiowych. Ewidentny kryzys publicznych mediów zdominowanych przez polityków spowodował odejście wielu osób z rozgłośni radia publicznego, zwanego od kilku lat rządowym. Ale w Fundacji Audionomia są nie tylko banici. Wszystkich łączy pasja opowiadania dźwiękiem. Prezeską Audionomii jest niezależna twórczyni, gdańczanka Magda Świerczyńska-Dolot.

Małgorzata Żerwe Jak zrodziła się Audionomia?

Magda Świerczyńska-Dolot Pomysł na założenie organizacji, która skupiałaby w jednym miejscu praktyków oraz teoretyków reportażu dźwiękowego zaczął kiełkować w głowie mojej i Kasi Michalak z Radia Lublin w czasie pandemii w 2020 roku. Wtedy zrealizowałyśmy wspólnie pierwszy projekt www.nieslysze.pl, który był dźwiękowym pamiętnikiem z czasu narodowej kwarantanny. Pytałyśmy

naszych rozmówców jakich dźwięków im zabrakło, za jakimi tęsknili? Przekonałyśmy się, jak ważny jest dźwięk w życiu ludzi, a jeszcze bardziej jego brak. Ten projekt pokazał, że ci, którzy nie tylko patrzą, ale przede wszystkim słuchają, potrzebują funkcjonowania w pewnej społeczności. Dziś nazywamy nas wszystkich Dźwiękoczułymi. Postanowiłyśmy zapoczątkować coś, co odpowie na potrzeby Dźwiękoczułych. Co przyczyni się do promowania dokumentu i reportażu dźwiękowego, które to gatunki nie

do końca były w Polsce rozpoznawane, w przeciwieństwie do reportażu pisanego czy telewizyjnego. Zaprosiliśmy do współpracy osoby, dla których dźwięk jako język opowieści jest równie ważny, jak dla nas. W Zarządzie i Radzie Fundacji znaleźli się: reportażystka Radia Lublin – Agnieszka Czyżewska-Jacquemet, Anna Dudzińska – kiedyś związana z Radiem Katowice, dzisiaj współpracująca z Radiem 357 i Raportem o Stanie Świata Dariusza Rosiaka, Bartosz Panek, kiedyś Polskie Radio Dwójka, dziś tworzący Free Range Productions, Joanna Bachura - Wojtasik, radioznawczyni z Uniwersytetu Łódzkiego oraz Hanna Bogoryja-Zakrzewska – niegdyś związana ze Studiem Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia, dzisiaj z inicjatywą torba-reportera.pl

Dołącz do nas Kasia Michalak, wiceprezesa Audionomii

Kasia Michalak Dla mnie Audionomia jest po to, żeby dowartościować gatunki audio, a szczególnie dokument. Dowartościować autorów, wypracować język refleksji, dyskusji, przekazywać tę wiedzę młodym, a szczególnie zachwycić tworzywem, tego mi brakuje. Zobaczcie - nie ma w Polsce takich festiwali, na których twórcy audio prezentują swoje prace niedziennikarskie. U nas piętno dziennikarstwa jest przypisane do reportażu radiowego. A przecież możemy oddychać sztuką dźwięku.

Magda Od początku traktujemy temat opowieści dźwiękowej holistycznie. Prowadzimy pierwszy w Polsce portal www.audionomia.pl w całości jej poświęcony. Wprowadziliśmy krytykę reportażu audio, czyli recenzje wybranych dzieł.

Obok platformy wirtualnej organizujecie spotkanie w realu – Ogólnopolską Konferencję Reportażu Dźwiękowego...

Magda ...która odbyła się po raz pierwszy w Gdańsku w ubiegłym roku, a we wrześniu 2023 odbędzie się w Poznaniu. To pierwsze w historii polskiej sztuki reportażu dźwiękowego spotkanie ludzi reprezentujących różne środowiska, których pasją jest opowieść dźwiękowa. Obok siebie usiedli twórcy z Polskiego Radia, twórcy niezależni, realizatorzy dźwięku, podcasterzy, reprezentanci komercyjnych platform zajmujących się produkcją audio, studenci, naukowcy, animatorzy kultury. Konferencja pokazała, że – mimo kryzysu polskich mediów publicznych, w tym radia publicznego, mimo odejścia wielu doskonałych reportażystów z instytucji Polskiego Radia – jesteśmy w stanie spotkać się, zintegrować i snuć plany na przyszłość. Konferencja udowodniła, jak ważne dla twórców, którzy dźwiękiem opowiadają o świecie, są spotkania, ale i słuchanie siebie nawzajem, wymiana doświadczeń, konstruktywna krytyka. Program Konferencji układamy corocznie tak, aby znalazły się w nich reportaże,



Statuetka Audionomia Award autorstwa Marka Elsnera, wykładowcy ASP w Gdańsku | fot. dzięki uprzejmości organizatorów

których słuchamy wspólnie i o nich dyskutujemy, ale także wykłady, warsztaty, spacer dźwiękowy, czy debaty. Ważnym punktem jest zaproszenie gościa z zagranicy, który opowiada o swoim warsztacie pracy.

A jak wygląda wasza obecność na arenie międzynarodowej?

Magda Nie miałam pojęcia, że jesteśmy tak bardzo obecni w świadomości naszych kolegów z zagranicy. Podczas International Feature Conference w Reykjavíku, czyli corocznego spotkania twórców audio z całego świata dowiedziałam się jak wiele osób obserwuje nasze działania. Jakiś czas temu we współpracy z Fundacją Wisławy Szymborskiej ogłosiliśmy konkurs na miniaturę dźwiękową inspirowaną twórczością noblistki. Spodziewamy się także zgłoszeń zagranicznych. Zaczynamy snuć marzenia o organizacji przynajmniej dwóch międzynarodowych wydarzeń w Polsce.

Kasia Moim zdaniem za granicą jesteśmy jedną z wielu grup, natomiast na gruncie polskim jesteśmy jedynym takim tworem i my właśnie te wzorce zagraniczne, gdzie audio funkcjonuje jako samodzielna dziedzina sztuki, chcemy przесzczepić na nasz grunt. Dlatego dla mnie ważniejsze jest to, co robimy w Polsce. My, którzy wyszliśmy z Polskiego Radia, gdzie dziennikarz czuł się zobowiązany do pełnienia misji - do angażowania się w tematy społeczne, w interwencje, w historię - jak już po 1989 roku zaczęliśmy głośno mówić o faktach, o których wcześniej nie mogliśmy mówić, zawsze była powinność misji, a nie było twórczej swobody. Nie było świadomości, że tworzywo, jakim jest dźwięk, może być unikalnym językiem sztuki. Mnie osobiście ta unikalność porywa, zachwyca i po to się zaangażowałam, żeby spróbować o tym mówić. Co nie jest łatwe, bo jak tu mówić o dźwięku, o jego nieprzetłumaczalności na inne

tworzywa. Oczywiście intuicja, talent są tutaj najważniejsze, ale pewne zjawiska trzeba ponazywać. Co nienazwane - nie istnieje. Dlatego próbujemy znaleźć język środka. Nie chodzi o to, żeby przytłoczyć odbiorców czy ludzi zainteresowanych audio, hermetycznym naukowym językiem, chodzi o znalezienie sposobu opowiadania, analizowania, który w zasadzie – poza środowiskami naukowymi – nie istnieje. Na naszych radiowych konferencjach zwykle analizowaliśmy to, co dotyczy fabuły, a mało mówiliśmy o tworzywie. Mówiliśmy, że praca jest pięknie zrealizowana, że miło się tego słucha, ale dlaczego tak jest? I właśnie teraz, kiedy mamy ten zwrot audytywny i słuchanie *on demand* - ten dźwięk jest zatrzymany, dostępny w podcastach, na stronach internetowych, i już nikt nam nie wmówi, że to jest ulotna twórczość.

Magda: Do współpracy przy portalu **www.audionomia.pl** zapraszamy wszystkich, którzy mają w dziedzinie opowieści dźwiękowej coś do powiedzenia. Mamy kilka działów i morze możliwości.

Wasz program to nie tylko opowiadanie dźwiękiem i promocja sztuki audio, na czym polega edukacja najmłodszych?

Magda: To istotny obszar naszej działalności. Mamy świadomość, jak ważna jest praca z najmłodszymi. Słuch jest pierwszym zmysłem, poprzez który odbieramy świat. Niestety jest też zmysłem, o którego pielęgnacji szybko zapominamy. Badacz dźwięku Julian Treasure wyrokuje, że współcześnie tracimy zmysł słuchu, zapamiętujemy tylko 25 procent tego, co usłyszymy. Barwa głosu, tempo, intencja - to elementy, na które użytkownicy kultury audiowizualnej stają się mniej czuli. Wniosek jest czytelny: uważnego słuchania należy uczyć. Od początku działania Fundacji prowadzimy spotkania i warsztaty w szkołach.

Są to jednak pojedyncze działania, które za każdym razem uświadamiają, jak ważne jest praca systemowa? Naszym marzeniem jest wprowadzenie do podstawy programowej w szkole podstawowej audioedukacji – lekcji uważnego słuchania. Udało nam się pozyskać grant z Fundacji PZU na napisanie, druk i kolportaż pierwszych 3 000 podręczników dla nauczycieli, które zostaną przez nas bezpłatnie dostarczone do szkół. Nauczyciele dostaną karty pracy, pomysły na lekcję słuchania i dostęp do audiobiblioteki czyli skarbnicy dźwięków, reportaży i słuchowisk, które rekomendujemy do pracy z dziećmi. Słuchania można uczyć nie tylko na lekcjach muzyki, także: języka polskiego, przyrody, fizyki, godzinie wychowawczej czy nawet matematyce. Sama mam córkę na początku edukacji szkolnej i widzę w jakim stanie emocjonalnym wraca ze szkoły, jak bardzo przeszkadza jej szkolny hałas i przebudzowanie. Do tego dochodzą telefony komórkowe, z których najmłodszy nie potrafią mądrze korzystać. Nie rozmawiają ze sobą, tylko żyją w osobnych, wirtualnych światach. Jeśli nie powiemy temu wszystkiemu stop, jeśli nie zaczniemy na co dzień uświadamiać ludziom, jak ważne jest, żeby nasze dzieci ze sobą rozmawiały i słuchały się nawzajem, za 10 lat będziemy mieli do czynienia z głuchym i nieczułym społeczeństwem. Bez uważnego słuchania, nie ma zrozumienia świata.

Uważnego słuchania odsłona druga, w czerwcowy wieczór w ECS słuchamy dokumentu Kasi Michalak *Złoty chłopiec*. To opowieść o Abrahamie Tuszyńskim, polskim Żydzie, który emigrując do Amsterdamu stworzył kinowe imperium i zbudował jedno z najpiękniejszych kin świata. Tym razem w Filmie bez obrazu dominuje słowo – zarówno w warstwie dokumentalnej jak i narracji prowadzonej przez autorkę. Słowo jest dźwiękiem.

Małgorzata Żerwe



Logotyp Fundacji „Audionomia”

Partnerem projektu *Film bez obrazu* dofinansowanego ze środków Miasta Gdańska, jest Europejskie Centrum Solidarności.

Epidemia nigdy się nie kończy

Tomasz Smiatacz

Jerzy Morzycki urodził się w 1905 roku w Hallensee (Niemcy), w dzieciństwie przebywał w Niemczech, Rosji i Finlandii. W 1919 roku, wraz z rodzicami, wrócił do Polski. Biegle władał językami niemieckim, angielskim, francuskim i rosyjskim. W 1930 roku ukończył studia na Wydziale Lekarskim na Uniwersytecie Warszawskim, uzyskując tytuł doktora wszech nauk lekarskich. Jeszcze na studiach podjął pracę w Dziale Bakteriologii i Medycyny Doświadczalnej Państwowego Zakładu Higieny (PZH) w Warszawie pod opieką profesora Ludwika Hirszfelda.

Głównymi polami zainteresowań zawodowych Jerzego Morzyckiego stały się bakteriologia, wirusologia i immunologia. W latach 1931-32, w ramach specjalizacji, pracował we Francji, a także w Instytucie Pasteura w Dakarze, odbył liczne kursy epidemiologii i medycyny tropikalnej, brał udział w zwalczaniu epidemii na terenie Sudanu, Senegalu, Maroka i Algierii, pracował również na okrętach marynarki francuskiej.

Po powrocie do kraju odbył służbę wojskową w Marynarce Wojennej w Gdyni, przeszedł do rezerwy w randze porucznika. W roku 1933 został dyrektorem Miejskiego Instytutu Higieny w Bydgoszczy, a w latach 1934-38 organizował filię Państwowego Zakładu Higieny w Poznaniu i kierował nią. Co ważne dla nas - był inicjatorem powstania, organizatorem i dyrektorem Instytutu Higieny Morskiej i Tropikalnej w Gdyni od 1938 roku. W 1939 roku brał udział w kampanii wrześniowej jako lekarz porucznik Marynarki Wojennej, uczestniczył w obronie Gdyni i Oksywia. Uciekł z niemieckiej niewoli i przedostał się do Warszawy, organizując przy tym ewakuację niemal wszystkich pracowników gdyńskiego Instytutu (źródła podają, że w jednym wspólnym wagonie kolejowym) do Warszawskiego PZH. Sam Jerzy Morzycki w latach 1940-44 kierował Oddziałem Walki z Epidemiami Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie – (dotyczyło to takich chorób jak dur plamisty i czerwona), między innymi organizował produkcję szczepionek dla ludności polskiej w trakcie okupacji. W tym okresie brał również czynny udział w walce podziemnej, organizacji pomocy sanitarnej oraz podziemnej produkcji szczepionek dla ludności cywilnej Warszawy, partyzantów i więźniów obozów koncentracyjnych. Ponadto uczestniczył w tajnym nauczaniu, prowadząc wykłady z bakteriologii na podziemnych Uniwersytetach Warszawskim i Poznańskim. W okresie okupacyjnej pracy w Państwowym Zakładzie Higieny poznał Marię Wojno, czyli dziś wspominaną profesor Marię Morzycką.



Maria i Jerzy Morzyccy. Lato. Tatry 1952 | fot. z archiwum rodzinnego Morzyckich

Tu pozwolę sobie bliżej przedstawić jej sylwetkę. Maria Morzycka urodziła się w 1919 roku w Warszawie, w 1937 roku ukończyła warszawskie Gimnazjum Humanistyczne im. Cecylii Platerówny i podjęła studia na Wydziale Weterynarii Uniwersytetu Warszawskiego. Studia, przerwane wybuchem wojny, kontynuowała na podziemnym Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego. Równolegle w latach 1941-44 pracowała w Państwowym Zakładzie Higieny, między innymi przy produkcji szczepionki przeciw durowi plamistemu. To tu poznali się przyszli państwo Morzyccy, ślub odbył się w grudniu 1942 roku. Mieli dwie córki: Marię oraz obecną z nami panią doktor Annę Elżbietę.

W roku 1944 państwo Morzyccy przenieśli się do Lublina. Po wyzwoleniu Jerzy pełnił funkcję Naczelnego Komisarza do Walki z Epidemiami, a później wiceministra zdrowia. W tym czasie współorganizował Wydział Lekarski Uniwersytetu



Tablica pamiątkowa poświęcona prof. Jerzemu i prof. Marii Morzyckim przy ulicy Dębinki 7 A | Materiały Urzędu Miasta Gdańska

Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Po wojnie był także jednym z inicjatorów i aktywnych organizatorów Akademii Lekarskiej w Gdańsku – między innymi jego podpis widnieje pod dekretem z 8 października 1945 roku, powołującym do życia gdańską uczelnię. We wrześniu 1946 roku Jerzy Morzycki złożył rezygnację z funkcji wiceministra zdrowia, a państwo Morzyccy przeprowadzili się do Gdańska. Jerzy Morzycki w latach od 1946 do 1954 był Kierownikiem Katedry Mikrobiologii Akademii Lekarskiej w Gdańsku i jednocześnie dyrektorem Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej, zlokalizowanego wówczas przy ulicy Morskiej [dziś Do Studzienki, przyp. K.K.] i należącego wówczas do Akademii. Tytuł profesora uzyskał w grudniu 1946 roku. Profesor miał dar integrowania podległych sobie pracowników Instytutu. Inspirował do wspólnego działania, wskazywał cele prac badawczych, a także organizował wspólne wyprawy turystyczne za miasto. Potrafił budować wartość jaką jest praca w zespole szanujących się i wspierających wzajemnie ludzi.

Maria Morzycka od roku 1947 do 1956 pracowała w Zakładzie Mikrobiologii Akademii Lekarskiej w Gdańsku oraz w Instytucie Medycyny Morskiej i Tropikalnej w latach 1951-1963, gdzie kierowała pracownią wirusologii. Ponadto od 1947 roku studiowała na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, uzyskując tytuł magistra filozofii. Profesor zmarł niespodziewanie w 1954 roku, w wieku zaledwie 49 lat. Jest autorem 65 oryginalnych prac naukowych i monografii z zakresu serologii, immunologii, epidemiologii, bakteriologii, parazytologii i wirusologii. Wykształcił 17 samodzielnych pracowników naukowych. Prywatnie był osobowością o wielkiej energii, wielu talentach, obdarzony inteligencją, zmysłem organizacyjnym i perspektywicznym myśleniem. Był bezpośredni, uczynny, komunikatywny i pełny poczucia humoru. Potrafił wyzwalać we współpracownikach entuzjazm i optymizm. Jego zainteresowaniami były w młodości krótkofalarstwo amatorskie, a później turystyka i narciarstwo. Jak wspomina córka Anna – stworzony

przez niego skonsolidowany zespół pracowników Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej otoczył ją po śmierci ojca troskliwą opieką i hołubił z niemal rodzinnym ciepłem. Mimo iż doktor Anna Lakomy nie pamięta postaci ojca, zmarł gdy miała zaledwie siedem miesięcy – ten wczesny okres życia wspomina bardzo dobrze i z wielkim sentymentem, dzięki opiece dawnych współpracowników profesora. Tamte przyjaźnie przechodzą dziś na drugie i trzecie pokolenie. Maria Morzycka do 1963 roku była zatrudniona w pracowni wirusologii Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej, przedmiotem jej badań naukowych były szczepionki i terapia przeciwwirusowa. W latach 1958-1959, jako stypendystka WHO, przebywała we Francji i USA. W 1963 roku podjęła pracę w Zakładzie Bakteriologii Farmaceutycznej Akademii Medycznej w Gdańsku, którym kierowała do śmierci w 1994 roku. Tytuł profesora uzyskała w roku 1968. Była autorką nowatorskich prac w zakresie etiologii odry, wirusowego zapalenia wątroby oraz poliomyelitis, prowadziła badania bakteriologiczne wód Zatoki Gdańskiej. Była krajowym ekspertem w zakresie odry i szczepionki przeciw tej chorobie. Od 1959 roku była członkiem Komisji Wirusologicznej PAN i od 1984 roku przewodniczyła tej Komisji. W roku 1976 została powołana do Rady Naukowej Państwowego Zakładu Higieny. Uczestniczyła w wielu wymianach naukowych i stażach – między innymi w ZSRR, Danii, Anglii, Francji, Jugosławii i NRD. Jest autorką 70 oryginalnych prac naukowych i monografii z zakresu mikrobiologii i wirusologii. Współpracowała z Feliksem Przesmyckim i Hilarym Koprowskim. Od 1945 roku należała do Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, a w latach 1980-1981 działała w NSZZ Solidarność. Została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Odznaką Honorową – Zasłużonym dla Ziemi Gdańskiej i Zasłużonemu dla Akademii Medycznej w Gdańsku. Prywatnie była osobą pełną wewnętrznego spokoju, uporządkowaną, pracowitą i konsekwentną w działaniu, w opinii współpracowników wymagająca, ale też ciepła i bardzo życzliwa dla kolegów i podwładnych. Obdarzona szczególnymi talentami dydaktycznymi i wychowawczymi, starannie przygotowywała i na najwyższym poziomie merytorycznym prowadziła wykłady, seminaria i programy nauczania. Pod jej czujnym okiem wykształciło się wielu znanych mikrobiologów i wirusologów. Jej zamiłowaniem była turystyka piesza i literatura, w tym francuska, czytana w oryginale. Upamiętniamy dziś dwoje nietuzinkowych, a nawet wybitnych ludzi nauki o wymiarze międzynarodowym, współtwórców Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego i Instytutu Medycyny Morskiej i Tropikalnej, a także Uniwersytetu Medycznego w Lublinie – lekarzy, nauczycieli i badaczy. Po ludziach, którzy odeszli, pozostają zwykle wspomnienia i wizerunki, zapiski i publikacje, budynki i pomieszczenia, a na nich tablice pamiątkowe. Ale pamiętajmy, że poza

wszystkim było to także po prostu dwoje niezwykle młodych ludzi, którym dane było spotkać się i przeżyć wspólnie – kilkanaście lat?... w najczarniejszym okresie XX wieku. Dwoje młodych ludzi, którzy nie mieli szansy na to, aby nie wciągnąć ich okrutny wir historii. Ludzi próbujących odnaleźć własne, rodzinne miejsce na ziemi, próbujących realizować swoje pasje i zamierzenia zgodnie z ich niepowtarzalną osobowością, temperamentem i talentami. Dziś, z perspektywy czasu, okoliczności ich życia umykają już naszej pamięci, nie zdajemy sobie już sprawy jak bardzo inny, okrutny, a nawet dziwaczny był tamten świat, w którym szczepionki były po prostu szansą na przeżycie, edukacja szkolna i uniwersytecka dawała nadzieję na szybki awans społeczny, jednak polityka i przemoc brutalnie zawężyła pole wolności i swobód obywatelskich. Dzisiejszy świat, medycyna i nauka są tak bardzo inne niż wtedy, pamiętajmy jednak, że decyzje i wybory życiowe tych dwojga młodych ludzi miały realny wpływ na kształt tej naszej małej ojczyzny, w której żyjemy tak odmiennie – tu i teraz. Dziś, z perspektywy czasu ich działania mogą wydawać się nam błahе, niezrozumiałe lub wręcz błędne, mamy pokusę powiedzieć – mogliście to zrobić lepiej, inaczej. Dlatego, ku przestrodze przed niewczesnymi osądami ex post, pozwolę sobie przytoczyć Państwu słowa syna profesora Rudolfa Weigla, zmarłego kilka lat po profesorze Morzyckim, z którym współpracował.

Napisał on:

Ojciec przecież wciąż wierzył, że choroba jest ważniejsza niż polityka. (...) Jednak ojciec się mylił. Polityka i historia są (niestety) większe niż choroba. Dlatego epidemia nigdy się nie kończy. Zawsze komuś zależy, żeby trwała, chce ją wykorzystać, żeby jednych poszczuć na drugich. Zdrowi przeciwko chorym, nigdy na odwrót. Strach staje się bronią, szczepionka narzędziem (walki), więc nawet ona przestaje być niewinna.

Upamiętniamy dziś dwoje młodych wybitnych ludzi, którzy – pomimo wciągającego ich mrocznego wiru historii – swoimi talentami organizatorskimi i naukowymi współtworzyli naszą teraźniejszość, starali się nieść pomoc ludziom chorym i stygmatyzowanym chorobą. Zdrowi dla chorych, nie przeciwko nim. Dlatego zasługują na pozostanie w naszej pamięci.

Tomasz Smiatacz

Rozszerzony tekst laudacji dr. hab. med. Tomasza Smiatacza, wygłoszonej z okazji odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej prof. dr. med. Jerzemu Morzyckiemu i prof. dr. hab. Marii Morzyckiej, odsłoniętej 26 maja 2023 przy ulicy Dębinki 7A w Gdańsku. Wnioskodawcami przedsięwzięcia była grupa radnych Miasta Gdańska: Andrzej Stelmasiewicz, Katarzyna Czerniewska, Wojciech Błaszowski, Bogdan Oleszek, Beata Dunajewska.

K.K

Płakała nad każdym świętym drzewem

wspomina Anna Lakomy, córka profesorów Marii i Jerzego Morzyckich

- Mojego ojca nie pamiętam. Zmarł, gdy miałam siedem miesięcy. Śmierć była tragiczna, w szczycie aktywności zawodowej, rodzinnej, w młodym wieku, bo nawet wówczas czterdzieści dziewięć lat traktowano jako wiek młody. Przechodził banalną operację przepukliny, zmarł z powodu powikłań, które były wynikiem ewidentnego błędu chirurga. Mój wizerunek ojca kształtowały w ogromnej mierze mama i babcia. Pamiętała go również moja siostra, Maria, która w momencie jego śmierci miała dziewięć lat, ale, w miarę upływu czasu, to był coraz bardziej mglisty obraz. Tutaj muszę powiedzieć, że mój ojciec posiadał dwie córki w związku z moją mamą, ale to było jego drugie małżeństwo. Z pierwszego małżeństwa miał, starszą ode mnie o dziewiętnaście lat córkę, Ewę (obecnie Skopińska-Różewska z domu Morzycka), która studiowała w Akademii Medycznej w Gdańsku, po śmierci ojca przeniosła się do Warszawy, skończyła medycynę, jest emerytowanym profesorem histologii i immunologii.



Anna Lakomy, córka uhonorowanych | fot. Grzegorz Mehring www.gdansk.pl

Babcia i mama mówiły, że jestem szalenie podobna do ojca, zwłaszcza charakterologicznie. Byłam zawsze osobą o temperamencie cholerycznym, jako dziecko miewałam napady furii, z rzucaniem się, kopaniem w podłogę. Babcia z mamą reagowały na to niestandardowo, zamiast mnie skarcić, patrzyły ze wzruszeniem na twarzy, jedna do drugiej mówiła: – Zobacz, ona się zachowuje zupełnie jak Jerzyk. Z tego wnoszę, że tata był wybuchowy. Jego pracownicy i przyjaciele opowiadali, że zdarzało mu się irytować w kontaktach międzyludzkich; wzburzony niewiedzą studenta,

potrafił wyrzucić go z gabinetu i cisnąć za nim indeksem. Rodzice mieszkali w tej kamienicy, w większości zajmowanej przez kadrę profesorską akademii, na pierwszym piętrze, w latach 1946–1953. W 1953 roku przeprowadzili się do kolejnego służbowego mieszkania w gmachu Akademii Medycznej na końcu ulicy Morskiej, obecnie Do Studzienki. Oboje pracowali w Instytucie Medycyny Morskiej i Tropikalnej, zlokalizowanym przy ulicy Morskiej dokładnie vis-à-vis budynku, w którym zamieszkali. Drugim miejscem pracy był Zakład Mikrobiologii sąsiadujący z Instytutem. Bezpośrednie sąsiedztwo było dla taty, który w pracy spędzał większą część życia, zaletą absolutnie nadrzędną i stąd przeprowadzka. Niestety, żył tam niecały rok. Zostałyśmy same, mama, babcia, siostra i ja. Mama i babcia mieszkaly tam do aż do śmierci.

Instytut był dla mnie niezwykle ważny. W moim dzieciństwie hołubili mnie właśnie pracownicy Instytutu, z sentymentem, ciepłem i serdecznością. To była społeczność licząca sto kilkadziesiąt osób, ludzie ściągnięci z całej Polski przez ojca. Zespół niezwykle żyty, pasjonatów, jak mój ojciec. Po jego śmierci zespół trwał tam przez czas jakiś i nasza rodzina znalazła oparcie w tych ludziach. Zawiązały się więc przyjaźnie, które przechodzą na kolejne pokolenia. W dzieciństwie masę czasu spędzałam w Instytucie, gdzie chodziłam z babcią. Bawiłam się w instytutowych pracowniach, bibliotece, na korytarzach, w garażach, jeździłam samochodami z kierowcami. Spotykałam się z serdecznością, oparciem ze strony właściwie wszystkich pracujących tam osób, które pamiętały ojca, wspominały go i tworzyły w mojej głowie

jego wizerunek. Czuję się zobowiązana wymienić nazwiska osób mi najbliższych z zaprzyjaźnionego grona pracowników Instytutu. Byli to Prof. Alina Taylor i prof. Karol Taylor, uczniowie ojca; byłam z nimi w zażyłości, do końca, z ich córką, Krystyną, do dziś utrzymujemy kontakt. Profesor Krystyna Pietkiewicz, którą ojciec ściągnął z Państwowego Instytutu Higieny, po śmierci taty przyjaźniła się z moją mamą, a jej córka, Ela Pietkiewicz, to moja przyjaciółka przez całe życie. Był też profesor Jerzy Georgiades, mój ojciec chrzestny, wówczas młody asystent taty, niezwykle żyły z moją rodziną. Niestety z czasem wyemigrował do Stanów i nasze kontakty osłabły.

Jestem dumna z rodziców. Byli bardzo dobrym małżeństwem, niestety, krótkotrwałym. Poza wciągającym za-

wodem, łączyło ich zamiłowanie do turystyki, zwłaszcza górskiej, narciarstwo. Mama opowiadała o chłopięcym entuzjazmie taty: nie wystarczyło, że z żoną i przyjaciółmi jeździł na nartach, miał potrzebę rywalizacji, startu w zawodach, lubił dostawać medale. Mama jest przykładem niezwykle pracowitości, wytrwałości, konsekwencji, rzetelności. Była ogromnie dzielna. Czytała masę książek. Pasjonowała się polityką, angażowała się w wydarzenia w latach 80., znała na bieżąco literaturę drugiego obiegu. Kochała przyrodę, płakała nad każdym ściętym drzewem, co i ja czynię.

notowała Katarzyna Korczak



Paryż, Tuileries | fot. Leszek J. Pękalski

Pies co różę w pysku niósł czyli historia sopockiego Gwoźdza

Olga Krzyżyńska

W Sopocie lat sześćdziesiątych miała miejsce historia niezwykła – bohater literacki otrzymał swój pomnik. Mało, że bohater literacki to jeszcze do tego pies! Pies Gwóźdź z powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat *Lato nagich dziewcząt*. Nie wierzycie? To poczytajcie...



Rzeźba psa Gwoźdza przy fontannie na skwerze przed ratuszem w Sopocie. Lata 60. | fot. ze zbiorów Joanny Palke-Marczak

Rzecz dzieje się przed siedzibą sopockiego ratusza. Ten okazały budynek powstał w latach 1910-1911 według projektu Paula Puchmuellera. Rozbudowano go w latach 1922-1923 – powstała wówczas część widoczna po prawej stronie wieży zegarowej z nowymi pomieszczeniami, w tym salą obrad. Między budynkiem a ulicą, wówczas noszącą miano Schulstrasse (Szkolna), rozpościerał się niewielki skwerek, rosły kwiaty, sezonowo były ustawiane egzotyczne palmy.

Cmentarz

W 1945 roku w walkach z Niemcami o Sopot zginęło 646 czerwonoarmistów, których pochowano w blisko trzydziestu prowizorycznych grobach na terenie całego miasta. Kilka

zbiorowych mogił znalazło się na skwerku przed sopockim ratuszem. Wieńczyły je czerwone gwiazdy, a spoczywało w nich ponad pięćdziesięciu żołnierzy. Radzieckiej komendanturze się to podobało – i tylko siłą przekonywania jednego z powojennych prezydentów Sopotu, Antoniego Turka zawdzięczamy, że polegli znaleźli inne miejsce wiecznego spoczynku. Antoni Turek prezydentem był krótko – od grudnia 1945 do końca sierpnia 1946 roku. Zaproponował on władzom radzieckim obecną lokalizację cmentarza na Wzgórzu Olimpijskim, co opisał w swoich wspomnieniach opublikowanych w „Kalendarzu Gdańskim 1985”:

Postanowiłem (...) założyć cmentarz poległych w walce o Sopot żołnierzy radzieckich, których mogiły były rozsiane w całym mieście. Radziecki komendant wojskowy nie

wyraził na to zgody. Uważał, że mogły znajdować się na eksponowanych miejscach i tam powinny zostać pod opieką miasta. (...) Znalazłem miejsce na wzgórzu z widokiem na morze. Gdy radziecki komendant zobaczył to miejsce, wyraził zgodę na ekshumację zwłok. Na uroczystość odsłonięcia pomnika i uczczenia poległych żołnierzy przeniesionych na nowy cmentarz przybył generał Świerczewski.”

Zieleń

Przed ratusz, który do 1958 roku, ze względu na zniszczenia wojenne Gdańska, służył także władzom wojewódzkim, powróciła zieleń. W 1958 roku władze miasta w pełni odzyskały swój obiekt – i od tej pory był on znany jako siedziba Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Jej przewodniczącym, także w 1958 roku, został Stanisław Podraszko (1911-1973) – pochodzący z Warszawy absolwent tamtejszej Szkoły Nauk Politycznych, od wiosny 1945 związany z Sopotem. I zaczęły się...

Zmiany, zmiany, zmiany

Stanisław Podraszko pozostawił po sobie w Sopocie dobrą pamięć. Popierał kulturę i sport. Sam śpiewał i grał na fortepianie, amatorsko uprawiał malarstwo, a w latach czterdziestych był członkiem sopockiej drużyny piłki nożnej Klubu Sportowego „Ogniwo” – więc wiedział w czym rzecz. Popierał szkolne chóry i orkiestry, a w 1961 roku powstał legendarny letni klub muzyczny „Non Stop”. Za jego czasów oświata otrzymała kilka nowych budynków: II Liceum Ogólnokształcące zyskało salę gimnastyczną, a szkoły podstawowe nr 1, 6 i 10 nowe siedziby. Nawiązał partnerską współpracę z Zakopanem – kontynuowaną także obecnie. Inwestował w turystykę – za jego czasów powstało przedsiębiorstwo Kąpielisko Morskie Sopot, ruszył kombinat gastronomiczny „Alga” i restauracja „Miramar”. Rozpoczęła się budowa osiedla „Przylesie”. I zaczęły zmiany na ulicach: likwidacja resztek oświetlenia gazowego, przebudowa ulicy Bohaterów Monte Cassino na deptak. „Nowe” zawitało także przed siedzibę Miejskiej Rady Narodowej.

Fontanna zamiast klombu

Na początku lat sześćdziesiątych trwała przebudowa nawierzchni ulicy Tadeusza Kościuszki. Bardziej reprezentacyjny i atrakcyjny miał się stać także skwerek przed ratuszem. W marcu 1963 roku w miejscu dotychczasowego klombu postawiono fontannę. Została ona wykonana w czynnie społecznym, w dużej mierze przez pracowników urzędu miasta. Dziś pewnie byłby to wolontariat albo może projekt zrealizowany w ramach budżetu obywatelskiego? Fontanna



Jedna z figurek – modeli przyszłego pomnika | fot. ze zbiorów Joanny Palke-Marczak

jednak nie wystarczyła, bo na horyzoncie machał już ogonem sympatyczny literacki bohater...

Na początku była powieść

W 1960 roku ukazało się pierwsze wydanie powieści Stanisławy Fleszarowej-Muskat *Lato nagich dziewcząt*. Opisana w niej historia była mniej więcej taka. Latem do Sopotu z Warszawy przybywa znany artysta rzeźbiarz Grzegorz Bień, z towarzyszącym mu psem Gwoździem. Otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w zamkniętym konkursie międzynarodowym na rzeźbę o tematyce poświęconej młodości. Udało mu się uzyskać nieczynną w czasie wakacji położoną w parku nadmorskim pracownię rzeźbiarską, w której mógł również zamieszkać. Artystę w Sopocie z miejsca otoczył wianuszek młodych wielbicieli, wśród których szukał modeli do swojej pracy, podobnie jak wśród towarzyszących im kolegów. Czytając powieść widzimy tętniące życiem miasto, czujemy gorąco lata sprzyjającego wszystkim żądnym wakacyjnych przygód i rozrywek. Tymczasem Grzegorza spotka tu nie tylko wakacyjna przygoda – pozna Annę, miłość swojego życia. Na pamiątkę, że był w tym mieście szczęśliwy pozostawi sopocianom rzeźbę – przedstawiającą nie konkursową młodość, ale jego sympatycznego psa, Gwoźdź, który stał:

... z czerwoną różą w pysku, uśmiechnięty uszami i ogonem, drżący prawie cały od pragnienia skoku ku komuś, komu pragnął oddać kwiat. (...)Chciałem, żeby w Sopocie została po mnie jakaś pamiątka – mówił Grzegorz. – Pamiątka dla miasta i dla mnie. Byłem tu szczęśliwy. Być może stanie tu kiedyś rzeźba bardziej reprezentacyjna dla mojej twórczości. Ale teraz ofiarowuję wam żart w postaci mego psa, który w moim imieniu podaje różę wszystkim obietom tego miasta.

Gwóźdź do fontanny

Powieść *Lato nagich dziewcząt* stała się niezwykle popularna. Mało tego – w 1962 roku jej autorka zamieszkała w Sopocie w istniejącym do dziś domu przy ulicy Abrahama. Nic dziwnego zatem, że powieściowa rzeźba zmaterializowała się w realnej przestrzeni Sopotu. Ceramiczna figura sympatycznego sierściucha stanęła na, istniejącym do dziś, cokole przy obramieniu fontanny. W zbiorach sopocianki Joanny Palke-Marczak zachowała się jedna z figurek – modeli przyszłego pomnika oraz zdjęcie całego założenia. Pani Joanna zapamiętała również, że na rzeźbę psa był ogłoszony konkurs.

Kto jednak ów konkurs wygrał i był autorem zwycięskiej figury? Pasierb autorki *Lata nagich dziewcząt*, sopocianin Mariusz Muskat w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych żył w Sopocie. Pamięta rzeźbę, ale, jak przyznał w osobistej rozmowie, niestety nie kojarzy nazwiska jej twórcy. Inny sopocianin, dziennikarz Adam Grzybowski zapamiętał, że figura była bardzo lubiana, a mieszkańcy często wkładali psiakowi do pyska świeże kwiaty. Zdaniem Maggie Bassett posąg psa mogła wyrzeźbić Elżbieta Szczodrowska.

– Byłam zaprzyjaźniona z rodziną artystki – mówi Maggie Bassett. – Spędziłam w jej pracowni przy ulicy Św. Ducha dużo czasu w latach 1964-1974 i obserwowałam, jak tworzy. Z czasem jej prace zyskiwały kształt coraz luźniejszy i ta, niby chlapnięta forma psa, bardzo estetykę jej twórczości przypomina.

Rzeczywiście prace Elżbiety Szczodrowskiej z lat sześćdziesiątych cechowały: realizm, ale i impresjonistyczna materia, deformacja, forma o miękkości i spontaniczności modelunku, pewnej kapryśności kształtu. Jednak ceramiczna materia rzeźby, jak i sam temat – czyli zwierzę – mnie bardziej kojarzyły się z artystą ceramikiem Ryszardem Surajewskim. Pan Ryszard często przywoływał w swojej twórczości kształty inspirowane fauną (np. *Żabi król*, *Czarne kruki*, *Białe kruki* itp.). Był on również uczestnikiem pleneru rzeźby animalistycznej w Zoo w Gdańsku Oliwie. Atrybucję Ryszarda Surajewskiego potwierdziła w rozmowie ze mną Zofia Watrak, którą upewnił w tym osobiście sam twórca. Historię tę opisała w artykule *Tropem psa Gwoźdź, Rzeczywistość i fikcja*, opublikowanym w pokonferencyjnym tomie *Stanisława Fleszarowa-Muskat i jej współcześni* (Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2021)¹. Niestety – autor rzeźby nie miał jej zdjęcia – pamiętał tylko, że po kilku latach została ona rozbita przez jakichś wandalów, a jej resztki usunięte.

Wkrótce na skwerku przed Urzędem Miasta stanie, wyłoniiony w konkursie, pomnik „architekta, który stworzył miasto Sopot” czyli Paula Puchmuellera. Czy teraz to on będzie podawał różę wszystkim kobietom tego miasta? Czas pokaże.

¹ Tekst ukazał się równocześnie w dwumiesięczniku „Autograf” nr 6/2019 (przyp. red.)





Książki, których nikt nie chciał

Janusz Heller

Literatura piękna dla młodszych i najmłodszych przeżywa właśnie swój renesans. Wraz z pierwszymi komercyjnymi sukcesami książek z kategorii „Young Adults” rozpoczęła się dyskusja o kierunkach, w jakich zmierza, i tematach, jakie podejmuje. Dzisiaj każde szanujące się wydawnictwo ma swoje „młode” imprinty i coraz więcej autorów i autorek piszących do tej pory dla czytelników dorosłych decyduje się na eksperyment w postaci książki dla dzieci lub młodzieży. I jest to eksperyment często udany. Nie dajmy się jednak zbyt szybko ponieść euforii. Pozytywne zmiany, jakie obserwujemy na przestrzeni kilku ostatnich lat, nie rozwiązują wszystkich starych problemów, a żeby było ciekawiej – generują nowe pytania, na które nie tak łatwo znaleźć odpowiedź.

Literatura polska dla dzieci i młodzieży przez kilka ostatnich dekad funkcjonowała na uboczu literatury dorosłej. To pokłosie znanego już od dawna terminu „literatura czwarta” lub „literatura osobna”, użytego bodajże po raz pierwszy przez Marię Dąbrowską. Wyodrębnienie tej kategorii literatury miało może i szczytne założenia, ale na długo zabetonowało w świadomości i piszących, i odbiorców schemat, według którego jest to literatura wyłącznie utylitarna i mająca „edukacyjne obowiązki”. Zbanalizowanie to przeniosło się wkrótce w sferę języka, który twórczość

Nie zmienia się jednak naiwna wiara dorosłych, przyjmująca formę zaklinania rzeczywistości, że byle książka podarowana młodemu człowiekowi, ot tak w prezencie, zmieni jego postrzeganie świata i wystarczy, żeby sam znalazł odpowiedzi na pytania, których sami unikamy jak ognia. Wystarczy przecież wejść do pierwszej lepszej księgarni, wybrać pierwszą z brzegu ładnie zatytułowaną książkę i mieć problemy nastolatków z głowy. Albo zapewnić młodszemu pokoleniu dostęp do szkolnych lektur, które sami czytaliśmy z mniejszym lub większym obrzydzeniem w swoich szczeniackich latach. I chociaż świat wykonał za naszego życia kilka pełnoskalowych piruetów, nie zmienia się nasz dorosły stosunek do literatury dla dzieci i młodzieży. Traktujemy ją wciąż jako medium, które doskonale wyręczy nas w realnym zaangażowaniu i przekazywaniu prawdziwej wiedzy.

Zapominamy, że współczesna kultura oferuje wiele ciekawszych rzeczy niż szkolny kanon a słowo pisane z perspektywy minionych pokoleń, fascynuje już tylko nielicznych. Jeśli literatura dla młodych ma być żywa, musimy być obok, towarzyszyć jej, chcieć o niej rozmawiać, nawet jeśli jej do końca nie rozumiemy (lub rozumieć nie chcemy).

Przez wiele lat beletrystyka dla dzieci i młodzieży była niechcianym księgarnianym dzieckiem. Przegrywała w rankingach i wyborach czytelniczych dokonywanych przez dorosłych na rzecz literatury poradnikowej i encyklopedycznej. Fetysz konkretnej wiedzy i faktograficznej prostoty brał górę nad niedająca się uschematyzować fikcją. Być może robiliśmy to w dobrej wierze, ale kiedy patrzymy na zakres tematyczny najpopularniejszych dzisiaj książek fiction dla młodych czytelników i czytelniczek, zauważymy, że spora część fabularnych rozwiązań rozgrywa się w wymaginyowanych światach, dystopiach i klimatach fantasy. To chyba



literacką dla dorosłych nazywał „książkami”, a tę dla młodszych – „książeczkami”. Łatwo już sobie dopowiedzieć, jak taki sposób wartościowania przełożył się na zaangażowanie rynku wydawniczego i na samą pozycję twórców i twórczyń. Na szczęście mamy przyjemność obserwować, jak podejście to przechodzi do lamusa.



najlepiej świadczy o tym, gdzie podążają młodzi, którzy szukają siebie, nie licząc już na pomoc dorosłych. Gdzie zatem szukać książek albo treści, w których młodzi odbiorcy mają szansę zanurzyć się trochę dłużej niż na chwilę? Jeśli nie mamy czasu ani możliwości na śledzenie najnowszych trendów, najlepiej poobserwować rynek nagród literackich. W Polsce przeglądem twórczości literackiej dla dzieci i młodzieży w różnych kategoriach wiekowych zajmuje się kilka inicjatyw. Jedną z nich jest Literacka Podróż Hestii – konkurs przeznaczony dla autorów i autorek piszących dla grupy wiekowej 10-15 lat, który wyróżnia się nie tylko wysoką nagrodą pieniężną (50 tysięcy złotych), ale też sprawnym zapleczem organizacyjnym i edukacyjnym. W przeciwieństwie do innych komercyjnych przedsięwzięć, nie koncentruje się na nowościach, ponieważ w konkursie wyróżniane są książki wydane w roku poprzedzającym daną edycję. Ta specyficzna mechanika pomaga w merytorycznym wykorzystaniu wartości i treści. Każda edycja konkursu Literacka Podróż Hestii przynosi kilka książkowych nominacji. Wraz z tytułami nominowanymi w poprzednich latach, stają się one częścią wyjątkowego zbioru literatury pięknej dla młodych czytelników i czytelniczek, a powstający w ten sposób nowy kanon dla dzieci i młodzieży ma szansę wyraźnie zapisać się we współczesnej kulturze. W tym roku Literacka Podróż Hestii wyróżniła 5 tytułów:

Przyjaciel Północy

Ilona Wiśniewskiej

(wydawnictwo Agora dla Dzieci)

Co może się stać, kiedy reportażystka postanawia napisać powieść, w dodatku dla młodzieży? Cóż, może być różnie. Ale Ilona Wiśniewska wywiązała się z tego zadania znakomicie. Owszem, głównym bohaterem *Przyjaciela Północy* jest Spitsbergen, z jego ciekawą florą i fauną. To, co przez młodych czytelników najczęściej jest pomijane, bo bywa nudne - czyli opisy przyrody - w książce tej jest fascynujące. A do tego mamy tu wątek przygodowy, a nawet kryminalny, od którego trudno się oderwać. No i wreszcie ważne przesłanie: przyroda nie jest ani dekoracją dla fabuły, ani naszą własnością. Zwierzęta mają swoją podmiotowość i swoje

prawa. I naprawdę wiele możemy się od nich nauczyć. Wyjdźcie nam to tylko na dobre!

Antosia w bezkresie

Marcina Szczygielskiego

(Instytut Wydawniczy Latarnik

im. Zygmunta Kałużyńskiego)

Książka z gatunku „nieodkładalnych” – czytasz ją ciurkiem, przypalasz czajnik, zarywasz noc... A jeśli zdarzy się, że czytasz w klasie, pod pulpitem, to ryzykujesz uwagę do dzienniczka. Chcesz przygody? Masz przygodę (dramatyczną). Chcesz skubnąć zaaplikowanej bezbolesnie wiedzy historycznej? Mówisz i masz! Chcesz wzruszyć się nad książką i siąknąć nosem? Proszę bardzo! Chcesz wreszcie nabrać wiary w ludzi i uniwersalne dobro, które pokonuje przeciwności losu? Szczygielski potrafi sprawić także i to. Jego bohaterka na początku książki jest beztroską, trochę kapryśną dziewięciolatką. Dorasta na Kresach II Rzeczypospolitej, w rodzinie nadleśniczego, otoczona miłością i komfortem.

Nadchodzi wrzesień 1939 roku. Wybuch wojna. Radzieccy okupanci wysiedlają Polaków w głąb ZSRR. Antosia i jej mama znajdują się w transporcie na wschód. Podróż trwa wiele tygodni. Dziewczynka, samotna i rozpaczona, dociera wraz z innymi wygnanymi na jałowy step, gdzie surowy klimat i wszechobecna bieda wystawiają ludzi na ciężką próbę. Zima trwa tu dziewięć miesięcy i zmusza ludzi do bezustannej walki o przetrwanie. Lalki Antosi idą w kąt, dziewczynka szybko dojrzewa metodą szokową i z dziecka zmienia się stopniowo w bystrą i bardzo dzielną nastolatkę. Doświadcza wielu traum, ale też niezwyklej dobroci, bezinteresownej przyjaźni i solidarności, o którą niełatwo w tych skrajnie trudnych warunkach. Jakkolwiek dziwnie to brzmi - *Antosia* jest po trosze rodzimą, przeniesioną w inny czas i klimat wersją bestsellerowej *Małej Księżniczki* - opowieścią o dziewczynce wyszarpniętej z nienacki z luksusu i beztroski, która musi zmierzyć się z zupełnie obcym, brutalnym światem. Dobro i zło są w tym świecie bardziej jaskrawe, wyraziste. O porażce, lub wygranej „małej księżniczki” zadecyduje jej siła charakteru.



Biuro dzieci znalezionych

Andrzeja Marka Grabowskiego

(wydawnictwo Literatura)

To nie jest zbiór opowiadań o dzieciach, które zaginęły, ale potem je ktoś odnalazł. To nie są historie, w których pani w supermarkecie ogłaszałaaby przez megafon, że „mała Agatka szuka mamusi”. Są trochę bardziej skomplikowane, trudniejsze. W tych historiach tym, co ginie jest na przykład poczucie przynależności do grupy koleżanek i kolegów, czasem wiara w to, że ma się wartość jako osoba. Czasem ginie świadomość, że ma się na świat wpływ. Autor przygląda się konkretnym historiom, które – co bardzo ważne – wydarzyły się naprawdę. I, co jeszcze ważniejsze, w różnych wariantach, wciąż się dookoła nas wydarzają. To nie jest książka o gubieniu, ale raczej o odnajdowaniu: sensu, radości, przyjaźni, akceptacji, miłości. A najważniejsze jest to, że to książka o wrażliwości i o tym, że czasem bardzo drobnym gestem, możemy komuś bardzo pomóc, więc czemu nie mielibyśmy spróbować?

Wolność albo śmierć

Aleksandry Herzyk

(wydawnictwo Kultura Gniewu)

Poruszająca opowieść rysunkowa, w której losy młodej bohaterki, uwikłanej w problemy z okresu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, stają się szansą na niezwykłą przygodę czytelniczą. To autorska, wciągająca wizja, którą stworzyła jedna osoba w dwóch rolach – ilustratorki i narratorki. To komiks, ale równocześnie duża porcja wiedzy historycznej przedstawionej w sposób niezwykle pomysłowy i oryginalny. I – jak to zwykle bywa z dobrą literaturą – utwór rodzący więcej pytań niż odpowiedzi.

Janusz Heller

Uciekaj. Hydropolis

Zygmunta Miłoszewskiego

(wydawnictwo W.A.B./GW Foksal)

To wyśmienita przygodówka sci-fi, z konsekwentnie skonstruowanym światem przedstawionym. Podążając za jedenastoletnim Elkiem, zanurzamy się w dystopijną rzeczywistość Hydropolis, podwodnej kolonii z połowy trzeciego tysiąclecia. Poznajemy Elkowe relacje rodzinne, przyjaciół, pasję, ale też przyglądamy się systemowi, który utrzymuje świat pod powierzchnią. Zaawansowane cywilizacyjnie społeczeństwo wydaje się być wysoko świadome. Normą są na przykład rozmaicie skonfigurowane modele rodzinne, czy nadrzędne traktowanie wspólnego dobra. I nagle na tym idealnym obrazku dostrzegamy rysę – gwarancją perfekcyjnego działania Hydropolis stało się przestrzeganie żelaznych reguł oraz posłuszeństwo wobec autorytarnych inżynierów. Autor brawurowo płynnie frazą dowcipnego jedenastoletniego narratora, nie szarżuje jednak, ani nie upupia, traktuje swojego czytelnika serio. Nie oszczędza na wzruszeniach ani mocnych wrażeniach. Niepostrzeżenie wciąga w akcję i trzymając nas w garści, zaczyna prowokować do myślenia. Gdzie kończy się ład i porządek, a zaczyna totalitaryzm? Jak blisko od troski do manipulacji? Czy wolność może być stanem trwałym, czy jest potrzebą, o zaspokojenie której każdy musi zawalczyć samodzielnie? Czy brutalna walka o przetrwanie nie jest przypadkiem wpisana w los każdego istnienia?



Kacwin, 1977 | fot. Leszek J. Pękalski



*** | fot. Leszek J. Pękalski



www.ergohestia.pl

Uprzejmie zawiadamiamy, że kwartalnik „Słowo” jest dostępny **w Gdańsku**, w Filii Gdańskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Mariacka 42 **w Wejherowie**, w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Zamkowa 2A

ponadto w bibliotekach Województwa Pomorskiego:

w Brusach; w Centrum Kultury i Bibliotece, Dworcowa 18, **w Bytowie**; w Bibliotece Miejskiej, Zamkowa 2, **w Człuchowie**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Szczecińska 5, **w Dziemianach**; w Gminnej Bibliotece Publicznej, 8 Marca 14, **w Gdyni**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Świętojańska 141-143, **w Głównychach**; w Gminnym Ośrodku Kultury, Kościuszki 15 A, **w Gniewie**; w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej, Plac Grunwaldzki 16/17, **w Helu**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Komandorska 2, **w Kartuzach**; w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworzec 4, **w Kwidzynie**; w Bibliotece Miejsko-Powiatowej, Kościuszki 54, **w Lęborku**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Armii Krajowej 16, **w Miastku**; w Bibliotece Publicznej, Dworcowa 29, **w Morzeszczynie**; w Ośrodku Kultury, Kociewska 12, **w Przechlewie**; Gminnej Bibliotece i Centrum Kultury, Młyńska 2, **w Pucku**; w Bibliotece Publicznej, Sambora 16, **w Redzie**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Derdowskiego 3, **w Skórczu**; w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 7, **w Sopocie**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Wybickiego, Goyki 1, **w Subkowach**; Gminnej Bibliotece Publicznej, Józefa Wybickiego 19, **w Sztumie**; w Sztumskim Centrum Kultury, Nowowiejskiego 14, **w Tuchomiu**; w Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 18, **w Wejherowie**; w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Kaszubska 14, **w Wejherowie**; w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworcowa 7

Słowa

Pomorski Magazyn Artystyczny



W poprzednich numerach

Bogusław Deptuła

Naturalna skłonność do obfitości
(o Andrzeju Dudzińskim)

Zbigniew Majchrowski

Estetyka Kazimierza Nowosielskiego

Dorota Sobieniecka/Agata Grenda

Jestem tu na swoim miejscu

W następnych numerach

Paweł Pacholec

Jeszcze o Krechowiczu

Stanisław Danielewicz

Komeda jako prekursor rock'n'rolla w Polsce

Dariusz Filar

Zmiana czasu w Berlinie

2/2023 (6)
Kwartalnik

ISSN 2956-3739



Uprzejmie zawiadamiamy, że na stronie 51. „Słowa”
P.T. Czytelnicy znajdą spis miejsc, w których dostępny jest nasz kwartalnik.